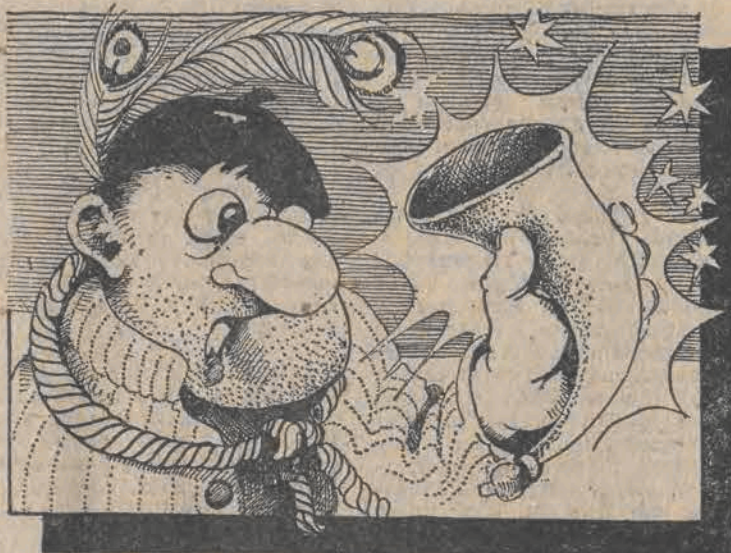


- ◆ **Tajemnicze cmentarzysko**
- ◆ **w Gibach** — str. 6
- ◆ **Czarne chmury nad gettem łódzkim** — str. 6 i 7
- ◆ **Dlaczego brakuje benzyny?** — str. 10
- ◆ **Matura za 40 jaj** str. 10



Rys. Dariusz Romanowicz

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 37 (1641) ROK XXXII 10 WRZEŚNIA 1989 ROKU CENA 150 ZŁ

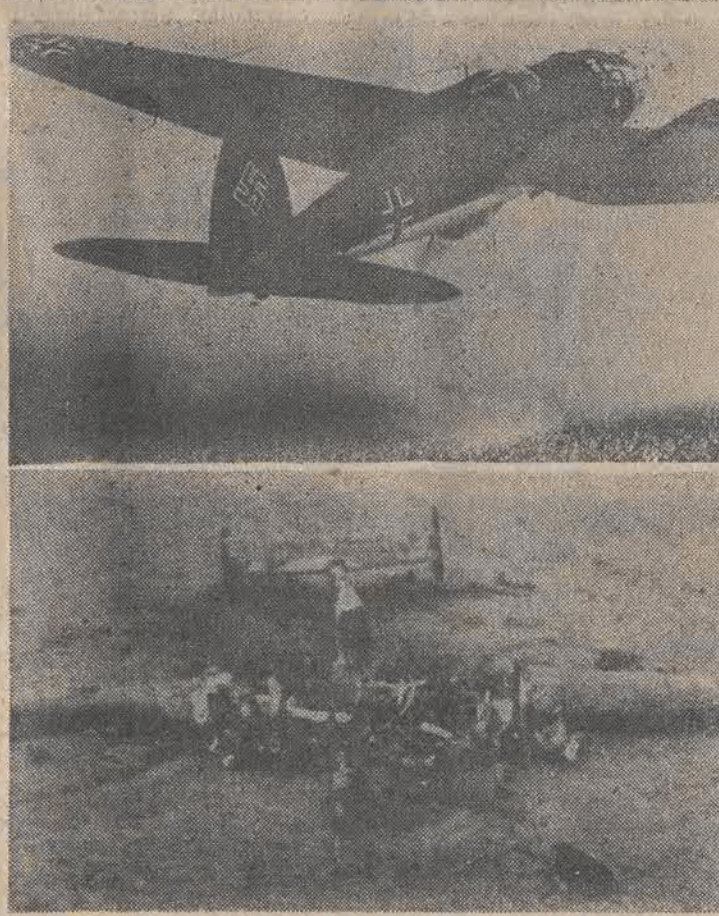
Dokumenty z czasów drugiej wojny światowej.

Zwycięska Luftwaffe i Europa bez Polski

Na stronie 4 i 5 prezentujemy dziś mało znane — a może wręcz nieznane szerokiemu ogółowi — dokumenty. Jednym z nich jest książka „Unsere Flieger Über Polen” — „Nasi lotnicy nad Polską” — napisana przez czterech hitlerowskich lotników, z przedmową dowódcy I Armii Powietrznej — Alberta Kesselringa.

Prezentujemy też reprodukcje fragmentów mapy wydanej w Niemczech przed 1 września 1939 r., na której nie ma już Polski. Jej terytorium podzielono zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami między Trzecią Rzeszę a ZSRR.

Szczegóły na str. 4 i 5.



Wrzesień 1939 roku na odcinku broniącym przez Armię „Łódź” (1)

Wojny dzień pierwszy i następne

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Dyrektywa nr 1.

31 sierpnia 1939 roku Adolf Hitler — Naczelny Dowódca Niemieckich Sił Zbrojnych — wydał „Dyrektywę nr 1 do prowadzenia wojny”. Była to ściśle tajna dyrektywa. W jej punkcie 3 znalazły się takie wskazania:

„Dzień natarcia: 1 września 1939 r.
Godzina natarcia: 4,45.
Czas ten obowiązuje również dla akcji Gdynia — Zatoka Gdańska oraz most w Tczewie.”

Wojna została postanowiona. 1 września 1939 roku, o godzinie 4,45 na ziemi, na wodzie i w powietrzu wojska niemieckie: lądowe, morskie i powietrzne przekroczyły granicę Rzeczypospolitej Polskiej i rozpoczęły zbrojne działania przeciw Polsce.

„Ze wszystkich stron — wspomina gen. Juliusz Rómmel — nadchodzą meldunki o bombardowaniach i o wynikłych stratach. Meldunek dowódcy OK IV podaje, że bombardowano fabrykę „Nitrat” w Niewiadowie, bombardowano Łask, Radomsko, Kutno, Łódź, Belchatów, Kalisz, tor kolejowe pod Łodzią i Piotrkowem, Wieluń, Tomaszów Mazowiecki, Łęczycę itd. Z napływających meldunków widać, że wojna rozpetala się od razu na całym obszarze Polski, że lotnictwo niemieckie wszędzie wyprowadza uderzenia sił lądowych i z nimi współdziała. Napowietrzne linie telefoniczne i telegraficzne przestają działać. Łączność się urywa. Transporty wszędzie są opóźnione lub, co gorsza, przerwane.”

W związku z wybuchem wojny gen. Juliusz Rómmel wydał rozkaz.

„Żołnierze! W dniu dzisiejszym armie niemieckie przekroczyły nasze granice, aby zagarnąć ziemie polskie i zniszczyć osiedla wasze.”

Pomni na czyny przodków naszych, którzy wrogie zastępy germańskie bili pod Wrocławiem na Psim Polu, pod Płowcami i Grunwaldem, prowadzić będziemy zaciętą walkę aż do zwycięskiego końca, aż złamana pycha niemiecka ukorzy się przed nami.

Żołnierze. Pewny jestem, że obowiązek wasz spełnicie z honorem i poświęceniem, i bagnietami wytyczycie granicę Wielkiej Polski, oswobadzając z jarzma niewoli setki tysięcy braci waszych.”

Z Łasku nadeszła wiadomość, że wylądowują się tam pułki 2 DP Legionów, które zasila wojska Armii „Łódź”. Ale to nie były wszystkie oczekiwane wojska. Brakowało trzech batalionów 2 i 3 pułku piechoty Legionów, niekompletne były dywizyjony 2 pułku artylerii lekkiej, nie przybyły dywizyjony artylerii ciężkiej i baterie artylerii przeciwlotniczej szczególnie potrzebne. W drodze była Kresowa Brygada Kawalerii. Na skrzydłach Armii „Łódź”, tam gdzie obrona była słabsza, gdzie stały się armie „Kraków” i „Poznań” z Armią „Łódź” siła uderzenia Wehrmachtu była największa.

1 września 1939 roku przypało w piątek.

Dzień był piękny, słoneczny.

Ludzie zostali zaskoczeni wojną. Wielu nie uwierzyło, że to już wojna. Wacław Lipiński był dyrektorem Instytutu im. Józefa Piłsudskiego, a podczas obrony Warszawy szefem propagandy Dowództwa Obrony Warszawy. 28 sierpnia 1939 roku spotkał się z Ignacym Matuszewskim w jego mieszkaniu przy ul. Filtrów w Warszawie. Rozmawiali o rządzie Felicjana Sławy-Skłodkowskiego, który to rząd Ignacy Matuszewski ostro krytykował m.in. za sprzedawanie do Anglii dział przeciwlotniczych, a do Egiptu i Francji karabinów maszynowych i czołgów. Gdy rozmowa zesła na sprawy zbliżającej się wojny Ignacy Matuszewski powiedział:

— Według mego II-oddziałowego nosa Hitler rozpocznie wojnę w najbliższy czwartek.

Pomylił się o dzień jeden. Wojna rozpoczęła się w piątek.

„O wpół do 6 rano — pisze Wacław Lipiński — obudziły Warszawę ryki syren alarmowych. Ol (Aleksandra Lipińska — żona autora — L.W.) zrywa się z łóżka, spieszy ubiera, chwytając opaskę OPL i maskę gazową, by zbiec na dół. Próbnym alarm lotniczym. Spałem dalej, lecz po godzinie — znów wycię syreny. Historia ta sama — Ol z Krzysztofem zbiega na dół, za chwilę wraca z wołaniem: alarm prawdziwy, samoloty niemieckie bombardują...”

Teraz i ja się zrywam. Narzucam ubranie, wychodzę na balkon. Dzień piękny słoneczny, na całej alei Szucha cisza, auta pozatrzymowały się przy jezdniach, przechodniów służba OPL zagarnia do bram. Nie widzę żadnego samolotu, ale oto w stronie Okęcia widać. Nasze czy niemieckie. Za chwilę nie mam już żadnych wątpliwości. Gdzieś w stronie Okęcia wzbija się jeden, potem drugi słup białego dymu i dolatuje łoskot wybuchu. Chwytam tornetę, przyglądam się i widzę dokładnie kłębiące się, ogromne słupy dymów Bomby lotnicze. Za chwilę widać już tam dymki naszej artylerii przeciwlotniczej, za chwilę zatrząskotały wściekle karabiny maszynowe ustawione na dachu naszego domu i naprzeciwko na dachu Najwyższej Izby Kontroli...”

Aleksander Rummel był kuzynem gen. Juliusza Rómmela. Pochodził z dwóch linii kurlandzkiej rodziny, która pierwotnie pisała się Rummel Juliusz Rómmel wysłapł o spolszczenie piśmowni, starego kurlandzkiego nazwiska. I tak już zostało, czego Rummelowie piszący się przez „u” nie mogli mu wybaczyć. Aleksander Rummel pracował wówczas w Zakładach Samochodowych Wspólnoty Interesów.

„Przez cały wieczór 31 sierpnia — pisze w książce „Wśród zmian i przemian” — słuchaliśmy wiadomości radiowych z Warszawy, a także z rozgłośni zagranicznych, w tym również najbardziej agresywnych — niemieckich. Z niepokojem w sercach wylaczaliśmy radio około godziny pierwszej 1 września i poszliśmy spać.

Wstałem jak zwykle o szóstej trzydziści. Podczas gołębienia usłyszałem zbliżający się huk silników lotniczych. Wybiegłem z łazienki i przez okno zobaczyłem względnie nisko lecące z południa na północ trzy nasze samoloty myśliwskie typu P-11c. Leciły na pełnej prędkości i szybko wznosząc się zginęły mi z oczu gdzieś w kierunku na Jabłonę. Kilka minut po przełocie klucza myśliwskiego usłyszałem dochodzące od strony Pragi przeciągłe wycie syren fabrycznych. Dopiero teraz włączyłem radio, z którego również rozlegało się wycie syren z jednocześnie głosem spikera:

— Ogłaszam alarm lotniczy dla miasta Warszawy.

(...) Usłyszeliśmy też przez radio pierwszy niemiecki komunikat wojenny: „Das Oberkommando der Wehrmacht macht güt bekannt...”, mówiący o natarciu wojsk niemieckich na całej linii frontu, krótki komunikat polski o walkach obronnych, rozkaz naczelnego wodza do armii

Prostota procedury sprawiła, że po wyborze Tadeusza Mazowieckiego nie zanotowano objawów euforii wśród Polaków. 24 sierpnia 1989 roku tuż przed godziną 13 komunistów, po 45 latach nieprzerwanego sprawowania rządów, przekazali władzę. Dotychczasowa opozycja — „Solidarność” — stała się partią rządzącą. Mimo iż niewątpliwie są to sensacyjne wydarzenia, polscy dziennikarze i posłowie nie poddawali się emocjom.

Emocje i niepokoje.

Stały się one za to udziałem obserwatorów zagranicznych, których blisko 900 stawiało się tego dnia na ulicę Wileńską. Obładowani setkami kilogramów sprzętu telewizyjnego za blokowali kuluary sejmowe do tego stopnia, że zdesperowany marszałek **Mikołaj Kozakiewicz** polecił wyrzucić całe to towarzystwo na galerię i do hallu. Zwiększyło to tylko nerwowość zagranicznych dziennikarzy. Kiedy jeden z „Solidarnościowców”, będących w obstawie nowego premiera, nieopatrznie zasłonił ręką obiektyw fotoreportera francuskiego, ten rzucił się na niego z desperackim okrzykiem i zaciśniętymi pięściami. W sukurs „solidarnościowemu” gorylowi przyszedł trzymający się tego dnia nieco na uboczu profesjonalista z Biura Ochrony Rządu. Incydent trwał krótko, ale ujawniona w tym momencie agresja zaskoczyła wszystkich.

— Zachód oszalał na punkcie pierwszego niekomunistycznego rządu w Europie Wschodniej — komentowali polscy dziennikarze. — My emocjonujemy się zdobyciem pudełka zapalek i paczki papierosów, o innych bardziej potrzebnych do życia towarach nie mówiąc.

Posłowie wszystkich orientacji przyglądali się historycznemu spektaklowi spokojnie. Dla nich wszystko było już wiadome. Wiadome, że PZPR pogodziła się z oddaniem rządu, że ZSL i SD poparły w pełni nowego premiera, że powstaje nowa sytuacja polityczna w naszym kraju, ale nowa sytuacja gospodarcza ciągle pozostaje tylko naszym marzeniem. „Solidarnościowcy” odprężeni i radosni, ale wyczuwano się wśród nich niepokój.

— Oczy w ślup mi stają, gdy sobie pomyślę o przyszłości — zwierzał się kolegom tuż przed wyborami **Jacek Kuroń**. — To może być najgłupszy rząd. Przecież ludzie mogą go nie poprzeć, a aparat zbrojotwań.

15 metrów i godzina obrad.

Na salę wchodzi bohater dnia. Skupiony, lekko zgarbiony, zajmuje miejsce w kątku za fotelami prezydentów. Głęboko opada w fotel, podiera twarz ręką i tak zastyga na najbliższe kilkadziesiąt minut. Obrazek jest niezwykle sugestywny i fotogeniczny. Fotoreporterzy zacieraają ręce.

Naprzeciwko niego ławy rządowe. Fotel przeznaczony dla premiera znajduje się w pierwszym rzędzie. Jest pusty. Mazowiecki ma do niego 15 metrów i godzinę czasu obrad Sejmu. **Czesław Kiszczak** jest obecny, jest też jeszcze prezesem Rady Ministrów, ale usiadł skromnie w drugim rzędzie między **Aleksandrem Kwaśniewskim** i **Florianem Siwickim**.

Mikołaj Kozakiewicz stwierdza, że posłowie mają za zadanie przyjąć rezygnację starego premiera i wybrać nowego. Przy słowie „starego” sala wybucha śmiechem.

— Ładny „stary” — mówią posłowie. — Ledwo dwa tygodnie obejmował to stanowisko.

Śmieje się też **Czesław Kiszczak**. Na reakcję Sejmu pozostaje obojętny **Tadeusz Mazowiecki**. Nie wstępuje do także **Aleksandra Krawczuka**, który mając w pamięci wielkie doświadczenie starożytności, nie dziwi się niczemu.

Lekceważący w stosunku do wydarzeń jest także **Mieczysław Wilczek**. Wziasz na barierce co chwila odgrywa palcami marsza z polito-

waniem patrząc na salę. On już jest poza sferą polityki. Zgodnie ze swymi wcześniejszymi zapowiedziami wraca do swoich interesów. Świat polityczny jest dla niego w tej chwili tylko wspomnieniem.

Nikt nie sprzeciwia się rezygnacji **Czesława Kiszczaka** ze stanowiska prezesa Rady Ministrów. Marszałek Sejmu wyraża podziękowanie za jego podwójną odwagę. Po raz pierwszy wyrażoną w momencie, gdy zdecydował się objąć ten urząd, po raz drugi — teraz, gdy ustępuje z niego, by nie przeszkadzać swojej osobie w tworzeniu rządu korzystniejszego dla Polaków. PZPR-owcy pierwsi składają donie do okłasków. Ławy „Solidarności” przyłączają się do huraganu braw z pewnym opóźnieniem, ale o dziwo ich owacje są najgłośniejsze. Ładny gest. **Czesław Kiszczak** docenia go i w pozycji stojącej kłania się aż trzykrotnie

Z Sejmu to, czego nie widać na telewizyjnym ekranie.

Trzykrotnie odbyło się wręczenie nominacji

MIROSLAW KULIS

ławom dotychczasowej opozycji. W stronę koalicji oddaje tylko jeden ułkon.

W błyskach fleszy.

Na mównicę wchodzi **Tadeusz Mazowiecki**, by przedstawić swoją koncepcję nowego rządu. Błyskają flesze fotoreporterów. Ta chwila rozpisana zostanie na tysiące klatek filmów fotograficznych, setki ujęć telewizyjnych. Posłowie koncentrują do maksimum swoją uwagę. Nie umknę im żaden z przecinków, wylądnie każda zmiana intonacji beznamiętnego raczej głosu nowego za chwilę premiera.

Zaczyna się seria przemówień przewodniczących sześciu klubów poselskich. Palacze korzystają z sytuacji i wymykają się na papierosa. Kuluary robią się ciemne od dymu i gestu od krzyżujących się wózków.

— Czy PZPR odzyska jeszcze kiedykolwiek władzę — zastanawiają się posłowie.

— Jak zareaguje średni szczebel władzy — pytają inni.

— Co zrobią ludzie zrozpaczeni tragiczną sytuacją materialną. Czy skończą się strajki? **Mikołaj Kozakiewicz** zarządza wybory. Głosy będą liczyć sekretarze.

— Nie będziemy korzystać z przycisków do głosowania — oświadcza.

Moment jest zbyt poważny, by mieć zaufanie do techniki. Wszyscy naprędcie zajmują swoje miejsca. Wynik jest jasny, ale każdy z obecnych chce mieć w nim swój udział.

Las rąk za **Tadeuszem Mazowieckim** jest nadzieją na ustabilizowanie sytuacji politycznej w Polsce. Ocy posłów i obserwatorów kierują się w stronę ław PZPR. Jej przedstawiciele także w większości przyłączają się do historycznej decyzji.

— Patrzcie **Tadeusz Fiszbach** podniósł rękę — szepczą posłowie.

Pełne poparcie wyrażają posłowie „Solidarności”, ZSL, SD i klubów katolickich. Kto będzie przeciw? Jest takich posłów czterech. Wśród nich jeden z dwóch przedstawicieli Wojska Polskiego, który jakby zawstydzając się swojej decyzji kilkakrotnie opuszcza bądź też podnosi rękę, co po raz drugi tego dnia wzbudza wesołość sali. Drugi z pu-

kowników głosował przed momentem za **Tadeuszem Mazowieckim**.

— Armia jest ostrożna. Swoje dwa głosy podzieliła równo — komentują kuluary.

41 posłów PZPR wstrzymuje się od podjęcia decyzji, między innymi **Marian Orzechowski** i **Ireneusz Sekula**. Sekretarza sprawują się tego dnia wyjątkowo sprawnie. **Mikołaj Kozakiewicz** po kilku minutach oświadcza, że obecnie było 423 posłów, z których 378 optowało za wyborem **Tadeusza Mazowieckiego**.

Sala klaszcze stojąc. Tym razem z pewnym opóźnieniem podnosi się część posłów PZPR. Ostatni **Marian Orzechowski**, ale i on wita brawami najbardziej spektakularną zmianę w układzie władzy PRL od chwili jej powstania. **Tadeusz Mazowiecki** dziękując za zaufanie trzyma się jeszcze dzielnie, ale schodząc z trybuny sejmowej nieoczekiwanie się rozkleja.

Pierwszym gratulującym jest **Ireneusz Sekula**. Za nim ustawiają się w kolejce członkowie ustępującego gabinetu. Wśród nich **Czesław Kiszczak**.

Po wyborze.

Pierwszy katolik wśród powojennych polskich premierów z trudem panuje nad emocjami. Długo caluje **Jacka Kuronia**. Nie może wręcz oderwać się od swoich „solidarnościowych” kolegów. Dziękuję im, ścisła mocno dłoń i ramiona, jakby w tych intymnych gestach szukając wsparcia dla czekających go zadań. Jego sekretarze i najbliżsi współpracownicy nieustannie go poganiają. Przypominają, że trzeba już iść. **Tadeusz Mazowiecki** jest wyraźnie niepokieszony. To kieruje się ku pokojowi marszałka Sejmu, to w kierunku kolejki gratulujących. Jeszcze przed samym wyjściem z sali nieoczekiwanie ponownie zawrócił przypominając sobie nagłe o teczce, którą zostawił na swoim fotelu.

— Zabrałmym ja, jest panie premierze — uspokajali współpracownicy.

Kamery telewizyjne i dziesiątki mikrofonów towarzyszą każdemu krokowi premiera. Uda się on do gabinetu marszałka Sejmu odebrać przygotowaną dla niego w czerwonej teczce nominację. Wzawa protestów rozlega się we wszystkich językach.

— Taki moment powinien następować publicznie, a nie za zamkniętymi drzwiami — krzyczą dziennikarze.

Mikołaj Kozakiewicz ulega presji i w dziesięć minut później ceremonia powtarzana jest na korytarzu. **Tadeusz Mazowiecki** jest niezręczny w nowej roli. Czerwona teczka bierze w rękę niewidoczną dla obiektywów. Reprezentant opinii publicznej są bezwzględni. Żądają jeszcze raz. Premier, sam do tej pory dziennikarz, usmiechem stara się pokryć swoje zawstyżenie z popelnionej gafy. Oddaje dokument z nominacją marszałkowi, by po chwili odebrać go już po raz trzeci! Tym razem wszystko przebiega dobrze. Pozowanie skończone.

Niebieski „Polonez” rusza sprzed Sejmu gwałtownie. Jeszcze przed rokiem nielegalne-

mu opozycjoniście dziś towarzyszy asysta eskortujących go milicyjnych samochodów. Tym razem nie jest ich więziennym. Jest szefem. Świat patrzy na to z zdumieniem.

— Na co liczę? — odkrywał swoje rachuby **Tadeusz Mazowiecki** dwie godziny wcześniej podczas spotkania z posłami katolickimi. — Na dwie rzeczy. Po pierwsze, że ludzie rozłani powstrzymają się od swoich słusnych skądinąd postulatów przez jakiś czas. Mam nadzieję, że pomoże mi w tym **Lech Wałęsa** i związek zawodowy „Solidarność”. Liczę także, że **Wojciech Jaruzelski** spacyfikuje aparat i nie będzie on tworzył zagrożenia dla nowego rządu i jego reform. Nie chcę PZPR zepchnąć do ścisłej opozycji. Gdyby tak się stało, to partia wraz z OPZZ mogłaby skutecznie zablokować planowane przez nas zmiany. PZPR dysponując armią i milicją nie będzie pełnił roli klasycznej opozycji. Będzie współrządził...

Bunt w partyjnym klubie.

Sądzić należy, że i to będzie trwało stosunkowo krótko. Po wznowieniu obrad rozegrał się kolejny akt politycznego eliminowania PZPR ze struktury władzy. Grupa 15 posłów partyjnych poinformowała o skierowaniu do marszałka Sejmu wniosku o poprawkę do Konstytucji. Zgodnie z tą propozycją ma być wykreślony fragment o sprawowaniu przez PZPR kierowniczej roli w Polsce.

W partyjnym klubie poselskim zawrzało. Przywódca „piętnastki”, poseł **Marian Czerwinski**, jest zdania, że taki gest partii wobec nowego premiera poprawi wizerunek PZPR w opinii publicznej. Nikt z oponentów tego nie kwestionuje, ale nie dowierza uczciwości jego intencji. **Marian Czerwinski** to jedyny poseł w Sejmie, który nosi w klapie znaczek z napisem PZPR. Nad nim ma drugi, nieco większy i bardziej wyrazisty — „Solidarność”. Desygnowała go do wyborów „Solidarność” w Dębicy, co spowodowało, że przeszedł w pierwszej turze uzyskując ponad 70 proc. głosów.

— Wybrała mnie „Solidarność” i mam w związku z tym wobec niej dług wdzięczności — nie ukrywa przed nikim tego faktu ten przesympatyczny w obecności poseł.

W ciągu dwóch miesięcy skupił on wokół siebie kilkunastu członków PZPR, z którymi rozważał możliwość utworzenia odrębnego klubu. Z koncepcji zrezygnowano, gdyż podobno przedstawiciele „Solidarności” podpowiedzieli **Marianowi Czerwinskiemu**, że na taki ruch jest jeszcze za wcześnie.

— Ja też uważam, że należy wykreślić ten przestarzały zapis w Konstytucji — tłumaczył swoje stanowisko posłowi z Dębicy **Stanisław Gabrielski**, wieloletni pracownik Komitetu Centralnego. — Dlaczego jednak mielibyśmy nie wystąpić z taką inicjatywą wspólnie całym klubem? Sprzeciwiam się przyjętej przez was metodzie rozrywania tej sprawy. Poza tym, czy nie lepiej byłoby gdybyśmy składając taką wolę zaproponowali powołanie komisji do zmiany całej Konstytucji?

Buntownicy w łonie klubu PZPR są bardzo przejęci swoją rolą.

— Jak nas wyrzucą z partii, przysmiejcie do siebie? — pytał członków „Solidarności”.

— Przyjmijmy — odpowiadają tamci z uśmiechem.

— Jesteśmy pod nieustannym naciskiem — tłumaczy się wobec opozycji.

— Wytrzymajcie. Myszmy o wiele więcej wytrzymali — pomniejszając ich odwagę i bohaterstwo członkowie „Solidarności”.

Lawiny zmian nie zatrzyma już nikt. Czy ktoś tego chce, czy też nie, dotychczasowy system zostanie wkrótce w całości rozmontowany. Polska staje się innym krajem. Jakim? Nie wie tego nikt.

Z tej ziemi

A gdyby tak częściej słuchać ludzi?

31.08.1989.

1.

Wcale nie mam satysfakcji z tego powodu, że przewidziałem spór o lokalizację Pomnika Chwały Żołnierzy Armii Łódź. I taki spór już mamy. Jest to spór o lokalizację. Jedni chcą, aby pomnik stanął przy ulicy Północnej, a inni, aby na placu 9 maja. Protestujący napisali list do przewodniczącego RNML — prof. **Andrzeja F. Grabskiego**. Ale decyzji to już nie zmieniło.

Przewiduję jeszcze spór o kształt pomnika. Ponieważ jest to Pomnik Chwały Żołnierzy Armii Łódź, a tych żołnierzy było dużo i to różnych broni, to każdy z nich ma inną wizję pomnika, inaczej go sobie wyobraża i jeszcze tak nie urodził, który by wszystkim dogodził. Tak było z Pomnikiem Powstania Warszawskiego. I z wieloma innymi pomnikami. Tak musi być z Pomnikiem Chwały Żołnierzy Armii Łódź.

2.

Spór o pomnik w Łodzi nawiązuje mi pewne ogólniejsze uwagi. Otóż uszkatałował się u nas wioletni nawyk rozstrzygnięcia spraw publicznych w ciżby gabinetów. Ciska może i dobra jest dla różnych przemysła, ale przeszkadza w podej-

mowaniu publicznych decyzji. Ludzie podejmujący decyzje w gabinetach może i kierują się dobrem społecznym, ale decyzje te nie podlegają krytyce, nie ma kto wykażać ich błędności, niedoskonałości, braków i przekłamań. Być może ludzie podejmujący decyzje w ciżby gabinetów opierają się na niedokładnych informacjach, niepewnych, nie znają do końca społecznego oczekiwania. Później następuje rozczarowanie.

3.

Obserwuję takie zjawisko. Z jednej strony ludzie oczekują coraz szerszej otwartości, coraz większej szczeroci, coraz pełniejszej informacji. Z drugiej strony niektóre zbiorowości zamknięte chętnie drzwi i obracają we własnym gronie. Nie przeczę, że mają do tego prawo, ale korzystanie z tego prawa jest jakby w poprzek społecznych oczekiwań.

Niedawno obradował Komitet Centralny PZPR na XIV posiedzeniu. Było to ważne posiedzenie. Ludzie chcieliby wiedzieć, kto i jakie zajmuje stanowisko, jakie prezentuje poglądy, bo przecież nie jest tajemnicą, że są to niekiedy bardzo różne poglądy. Chciałoby się zatem wiedzieć, jakie poglądy i postawy prezentowali różni ludzie. Ale nie z tego.

Co dziwniejsze w składzie

centralnych władz PZPR jest trzech byłych redaktorów naczelnych i już ich „zawodowe obciążenie” powinno być zgodne ze społecznymi oczekiwaniami. Oni powinni protestować przeciw zamknięciu drzwi, oni przede wszystkim powinni być za otwartością. Ale jakos nie wiem o tym, aby ktoś protestował. Jeden z byłych naczelnych redaktorów próbował nawet publicznie uzasadniać — bodajże w radiu — decyzję zamknięcia drzwi, bo wtedy ludzie będą swobodniej wypowiadać się. Tylko, że tym ludziom ktoś zaufa i chciałby wiedzieć, jak on to zaufanie wykorzystuje? A gdyby tak...

4.

Inny przykład. List organizacji partyjnych z „Polimerów” wywołał „trzęsienie ziemi” w łódzkiej organizacji partyjnej. Wydawało się, że nastąpi radykalna zmiana, że łódzka organizacja partyjna — za przykładem swojej instancji — obudzi się z głębokiego snu i zacznie w niej dokonywać się niezbędny proces przeobrażeń reformatorskich. Już choćby ten fakt, że PZPR stanowi jedną z partii politycznych musi wpłynąć na sposób myślenia, na sposób widzenia świata. Fakt, że PZPR teraz będą reprezentowały zespoły ludzi wybranych w wyborach musi spowodować prze-

organizowanie się partii i wprowadzenie zupełnie innych metod działania. Właśnie działania. Ale zmian takich nie dokonano.

Komitet Łódzki PZPR obradował przy zamkniętych drzwiach. Wprawdzie „Głos Robotniczy” opublikował obszernie sprawozdanie z obrad, ale nie daje ono mimo wszystko pełnego obrazu obrad. Było trzech kandydatów: **Adam Walczak**, **Karol J. Stryjski** i **Andrzej Kaźmierczak**. Wybory 42 głosami wygrał **Adam Walczak**. Nie było czasu na prawdziwą rywalizację, na konfrontację programów. A przecież były od dawna liczne sygnały, z których jasno wynikało, że łódzka instancja partyjna przeżywa poważny kryzys. Choćby wynik konsultacji przed pierwszą turą wyborów. Nikt jednak tego nie wziął poważnie, nikt nie wyciągnął z tego konsekwencji.

5.

Przy wszystkich kryzysach powracamy do problemu informacji, konsultacji, dyskusji i krytyki. Jakże często w ciżby gabinetów nie słychać tego, o czym wróble ćwierkają na dachu. A przecież sygnałów o tym, że w Łodzi dzieje się nie-dobrze było wystarczająco dużo. Można je było znaleźć w gazetach, posłyszeć w radiu, zobaczyć w telewizji. Można je było posłyszeć w kolejkach, na ulicy, a nawet u cioci na imieninach. Ale u nas panuje takie, przekłamanie, że władze mają dobre intencje, że chcą jak najlepiej, starają się, tylko materia jest oporna i nie z tego nie wychodzi. Obiektywne okoliczności i przeszłość są tak silne, że zawsze można się nimi zasłonić. I ludzie, sprawujący różną władzę mają komfort dobrego samopoczucia wbrew rzeczywistości. Myślę, że z takiej sytuacji trzeba wreszcie wyłagnąć właściwe wnio-

ski. Trzeba nauczyć się słuchać ludzi, słuchać i brać ich uwagi, ich krytykę, ich pretensje poważnie i wyciągać z tego właściwe wnioski. Nie obrażać się na krytykę. Nie obrażać się na krytykujących, nawet gdyby w swojej krytyce przesadzali, co też się zdarza.

Warto różne projekty i zamierzenia poddawać szerokiej dyskusji, warto i trzeba wyjść z ciżby gabinetów. Nie bać się ludzi.

6.

W sprawozdaniu „Głosu Robotniczego” z posiedzenia KŁ PZPR jest takie zdanie:

„Komitet Łódzki omówił następnie problem rekomendacji partyjnych kandydatów na stanowisko prezydenta Łodzi”.

Podobne zdanie jest również w sprawozdaniu w „Dzienniku Łódzkim”. A nazwiska kandydatów? Czy to znów jest tajemnica? I przed kim? Nazwiska te powtarza ulica, tylko my znów bawimy się w tajemnice. Przecież przyszły prezydent łódzianin nie jest i nie może być obojętny. Może warto było zasięgnąć opinii choćby niektórych organizacji partyjnych. Bo może się okazać, że ludziom ta lub inna kandydatura nie odpowiada, nie spodziewają się po tym, czy innym kandydacie energicznego, rozumnego działania, aby móc Łódź wyprowadzić z marazmu. Być może podczas takiej konsultacji udałooby się uniknąć późniejszej kompromitacji.

7.

Każdy, kto trochę interesuje się polityką i ma wolny czas, może śledzić obrady Senatu lub Sejmu PRL. I to bardzo dobrze, że tak się dzieje. Wprawdzie niektórzy popołownie narzekają, że ich koleday pchają się przed kamery bez większego

powodu, aby tylko pokazać się swoim wyborcom, ale i te „dziecięce choroby parlamentarizmu” trzeba przeciekać. Na Węgrzech z tego samego powodu wpadli w popłoch i chcieli skasować telewizyjne transmisje obrad, ale zaprotestowano przeciw temu. Gdyby ktoś u nas wpadł na podobny pomysł, to już z góry protestuję.

W poniedziałek (04.09.1989 r.) ma odbyć się nadzwyczajna sesja RNML, na której wybierani będą w głosowaniu tajnym kandydaci na prezydenta. To może być ciekawe. Niestety moje uwagi, które właśnie spisuję, ukażą się dopiero w środę, a więc już po fakcie. Niemniej jednak, nie są to ostatnie wybory w partii, w partiach, w radzie narodowej. Mam w związku z tym pewną propozycję.

Otóż Łódzki Ośrodek Telewizyjny dysponuje ograniczonym czasem na antenie Programu 2. Z tego powodu kamerzysta posługuje się pewnym schematem: „bufet” — czyli stół przydzielony, goście spoza Łódzi sala — widok ogólny, dwa, trzy zbliżenia, ktoś na mównicy i koniec. A gdyby tak spróbować transmisji z przebiegu obrad RNML? Gdyby wyborcy sobie posłuchali, co też mówią i jak mówią ludzie, których oni wybrali i obdarzyli zaufaniem? Może wpłynęłoby to pozytywnie na przebieg obrad RNML, a my poznalibyśmy kulisy tych obrad, może okazałoby się, że wcale nie są one takie nudne, a może wyborcy podnieśliby decyzje, aby kogoś pozbawić ich zaufania, bo się nie sprawdził. W końcu na sesjach RNML mówi się o naszych sprawach.

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

Wojny dzień pierwszy i następne

I inne zarządzenia, związane z wybuchem wojny. Tuż przed godziną ósmą dały się słyszeć z oddali wybuchy bomb lotniczych i dość rzadki ogień artylerii przeciwlotniczej.

Po śniadaniu udałem się do pracy.
Major Henryk Sucharski — dowódca załogi Westerplatte — notował zdarzenia z sierpnia i września 1939 roku w „Kalendarzu Poczty Gdańskiej na rok 1939”. W kalendarzu tym zanotował pod datą 26 sierpnia — sobota: „Zmiana miejsca postoju pancernika pod fort Weichselmünde”. Chodzi oczywiście o pancernik Schleswig-Holstein, który przybył do Gdańska z wizytą 25 sierpnia 1939 roku. Weichselmünde — to Wistoulęcie, dawna forteca i latarnia morska na prawym brzegu Leniwki.

31 sierpnia — czwartek. Major Henryk Sucharski notuje: „Ostatni pobyt Wicka na Westerplatte”. Chodzi o ppłk. Wincen-
tego Sobocińskiego — szefa Wydziału Wojskowego Komisarjatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Gdańsku. Z Gdańska — jak się okazuje — wyraźniej widać było zbliżającą się wojnę.
1 września — piątek. Major Sucharski zapisał: „4,45 szturm

na Westerplatte. Ogień z pancernika. Pierwsi ranni i zabici (wymienia ich nazwiska). Rozbiła działą (26 strzałów).”

Było to jedyne działo na Westerplatte. Niektórzy z obrońców Westerplatte uważają, że działą to oddało więcej strzałów niż 26. Inny rejon Polski. W pobliżu granicy z Niemcami. Na prawo tereny obsadzone przez pułki 30 DP, na lewo — pułki 7 DP należącej już do Armii „Kraków”. A więc luka między dwoma armiami. Tę lukę rygluje Wołyńska Brygada Kawalerii wzmocniona dwoma pododdziałami pancernymi. W skład Wołyńskiej Brygady Kawalerii wchodzi 2 pułk strzelców konnych z Hrubieszowa. Pułkiem dowodził ppłk Józef Mularczyk, oficerem oświatowym był podporucznik rezerwy Jan Dobraczyński, który zresztą na czas bitwy pod Mokrą odesłany został ze sztabu pułku do koszar w Hrubieszowie. Oficerem żywnościowym pułku był podporucznik Stanisław Piotrowski. Spisał on swoje wspomnienia w książce pt. „W żołnierskim śladzie”. Oto jego wrażenia z pierwszych godzin wojny:

„W kancelarii stał rotmistrz Sulimier i czytał jakieś świstki papieru. Na jego owalnej twarzy o zapadniętych oczach z niedo-
spania rysowało się zdenerwowanie.

— Zaczęło się — powiedział do mnie. Wpadł do pokoju pułkownika, który w mundurze spał na drewnianej ławie, ustawionej pod oknem. Skrzypnięcie drzwi obudziło dowódcę. Jak automat siadł na ławie.

— Jest coś? — zapytał odruchowo.

— Niemcy w różnych miejscach otworzyli ogień.

— Łączność działa?

— Bez zakłóceń.

— Proszę mnie połączyć z dowódcą brygady. (...)

Wybiegłem z dowództwa pułku i popędziłem do swoich. Czułem podniecenie, dziwny lęk, którego nie byłem w stanie określić. Pędziłem galopem bezmyślnie, jakby uciekając przed niebezpieczeństwem. Zobaczyłem rotmistrza Baranowskiego. Stał na nasypi i trzymał lornetkę w ręku. Przywołał mnie ręką. (...)

— Chyba wiesz, że zaczęła się wojna?

— Wiem. Wracam z dowództwa swojego pułku. Skromne mają wiadomości. Niemcy otworzyli ogień.

— Poczekaj, niech dzień się rozrusza, a wtedy wszystko się wyjaśni. Od kapitana Izidora Malinowskiego z łączności brygady

dowiedziałem się, że otrzymali meldunek od kolarzy patrolu Obrony Narodowej „Kłobuck”, że już o godzinie 03.30 zostali nad granicą ostrzelani z miejscowości Podłęże Królewskie. O godzinie 04.45 straż graniczna zameldowała telefonicznie, że czołgi niemieckie wchodzą do Starokrępc. O godzinie 04.45 artyleria niemiecka pokryła ogniem kompanię Obrony Narodowej porucznika Pawelskiego w Krzepicach. Zaczęła się wojna.”

Co zdarzyło się 1 września 1939 roku i w dniach następnych na odcinku bronionym przez oddziały Armii „Łódź”?

Przypomnę tylko, że odcinka granicy polskiej od Kalisza po Częstochowę broniły 10 DP, 28 DP, 30 DP i Wołyńska Brygada Kawalerii. Z tym, że Kalisza broniła 25 DP z Armii „Poznań”, a Częstochowę 7 DP z Armii „Kraków”. 2 DP Legionów wylądowała się w Łasku, a pierwsze oddziały Kresowej Brygady Kawalerii w rejonie Szadku. Pułki 10 DP stały na głównej linii obrony przed Wartą w rejonie Sieradza. Z ich składu utworzono dwa oddziały wydzielone: OW płk Jana Zientarskiego i OW płk Jerzego Grobickiego.

OW płk Jana Zientarskiego stał się przeciwnikiem w rejonie Ostrzeszowa, a OW płk Jerzego Grobickiego walczył pod Boleśławcem hamując natarcie na Wieluń 1 Dywizji Lekkiej Wehrmachtu.

Tego dnia wojska Armii „Łódź” stoczyły 9 walk: 2 — siłami batalionu, 1 — siłą pułku piechoty, 1 — siłą szwadronu kawalerii, 3 — siłą pułku kawalerii i 2 — siłą brygady kawalerii. Niewątpliwie najważniejszą była bitwa Wołyńskiej Brygady Kawalerii stoczona pod Mokrą z przeważającymi siłami 4 Dywizji Pancerniej Wehrmachtu.

„Ażeby zdać sobie sprawę z sukcesu, jaki osiągnęła Wołyńska Brygada Kawalerii, trzeba znać siły polskiej czteropułkowej brygady kawalerii. Pułk ułanów, liczący cztery szwadrony, wystawia do walki piechotę 2/3 swego składu; 1/3 pozostaje przy koniach. Licząc na szwadron około 100 szabel, do walki piechoty staje około 60 ludzi z 2 karabinami ppanc. Pułk wystawił więc 240 ludzi, 16 rkm, 8 karabinów ppanc., 12 ckm i 2 działka ppanc. Jest to siła około dwóch bardzo słabych kompanii pie-

Mapa Europy z 1 września 1939 roku na której nie ma już Polski

Jeden z naszych Czytelników — TADEUSZ NOWACKI, były pracownik „Foniki”, przyniósł do redakcji mapę, jaką zaraz po wybuchu wojny jego ojciec otrzymał od łódzkiego księgarza. Mapa już dobrze podniszczona, ale interesująca nas między innymi dlatego, że wydana we wrześniu 1939 roku, kiedy jeszcze wojna z Polską nie była rozstrzygnięta, ale na mapie tej dokonano już rozgraniczenia terenu Polski między Trzecią Rzeszę i ZSRR zgodnie z tajnymi protokołami.

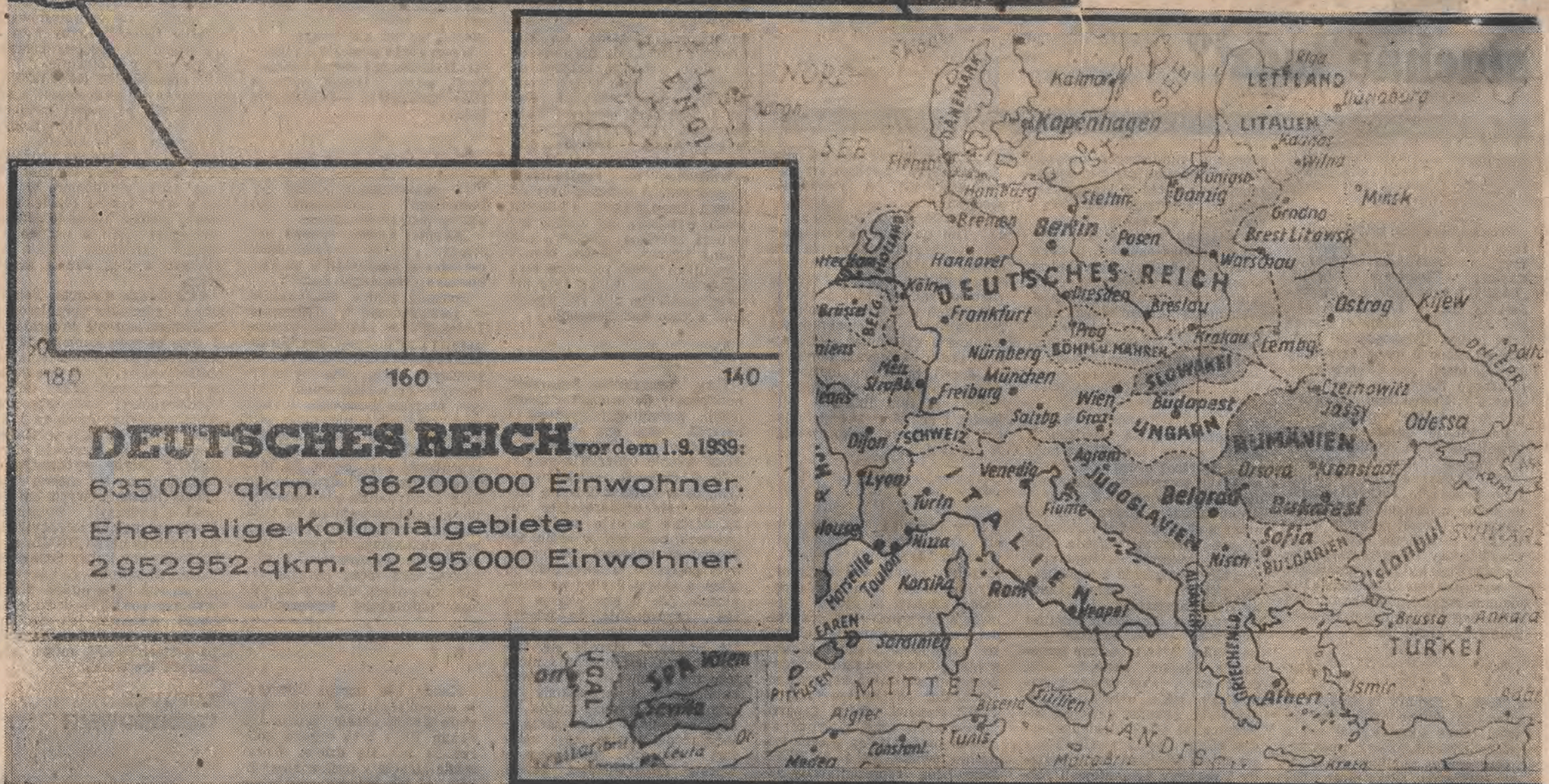
Reprodukcję mapy w całości — patrz foto nr 1. Na tej reprodukcji zaznaczyliśmy fragmenty reprodukowane w powiększeniu.

Foto nr 2 — Europa bez Polski.

Foto nr 3 — fragment mapy z zaznaczeniem, że chodzi o Deutsches Reich z 1 września 1939 roku, a więc z dnia, w którym zaczęła się wojna, ale Polska została już podzielona zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami między Trzecią Rzeszę i ZSRR.

Fotografia na pierwszej stronie pochodzi z odwrotnej strony mapy i pokazuje to samo tylko w większym powiększeniu, co znajduje się na foto nr 2.

Linie rozgraniczające wzmocniliśmy czarnym tuszem.



choły. Cała brygada mogła wystawić do walki piechotę około sześciu kompanii piechoty, do czego dochodził jeszcze 3-kompanijny batalion strzelców z karabinami maszynowymi i bronią ppanc. W sumie więc brygada przedstawiała siłę około trzech batalionów piechoty. Artyleria składała się z 3 baterii artylerii konnej, czyli 12 dział i 60 rkm.

Jest to opinia gen. Juliusza Rómmila.

Dla porównania warto odnotować, że niemiecka dywizja pancerna liczyła 13000 ludzi, dysponowała około 500 czołgami, 6 bateriami artylerii i 3000 pojazdów mechanicznych różnych rodzajów.

Brygadą dowodził płk Julian Filipowicz. Specjaliści jego umiejętności dowodzenia przypisują sukcesy Wołyńskiej BK, chociaż straty poniesione w bitwie pod Moką były wysokie. Oblicza się, że wyniosły około 200 ułanów, strzelców konnych i artylerzystów. Po walce brygada wycofała się na skraj lasów na południe od Nowej Brzeźnicy.

Również 2 września 1939 roku Wołyńska Brygada Kawalerii stoczyła całodzienny bój z oddziałami 4 Dywizji Pancernej Wehrmachtu w lasach Łobodno na południe od Nowej Brzeźnicy. Obok oddziałów 4 Dywizji Pancernej w bitwie tej wzięły udział oddziały 19 Dywizji Piechoty Wehrmachtu. Ułani, strzelcy konni i artylerzyści powstrzymali pochód naprzód wojsk niemieckich. W bitwie tej Wołyńska Brygada Kawalerii straciła około 25 procent swego stanu. Główny opór przeciwnikowi tego dnia stawiali strzelcy konni z 2 pułku dowodzonego przez ppłk Józefa Mularczyka.

Pod Wieluniem 36 pułk piechoty powstrzymywał napór 1 Dywizji Lekkiej Wehrmachtu. W zakolu Warty w rejonie Dziezłnik, Zalecza Małego, Bobrownik z oddziałami 18 i 19 Dywizji Piechoty Wehrmachtu walczył 82 pułk piechoty dowodzony przez ppłk. Antoniego Chruściela.

Tego dnia stoczono 6 walk: 1 — siłami batalionu, 1 — siłami pułku piechoty, 1 — siłami pułku kawalerii, 2 — siłą brygady kawalerii i 1 — siłą dywizji piechoty. Tego dnia czołgi 1 Dywizji Pancernej Wehrmachtu weszły w łuk między 7 DP i Wołyńską Brygadą Kawalerii, zajęły most w Gidlach na War-

cie i ruszyły w kierunku Radomska, a patrole w kierunku Przedborza nad Pilicą. W rejonie Gidel polska Brygada Bombowa zbombardowała kolumny pancerne przeciwnika.

Jak z tego widać ciężar walk w drugim dniu wojny spoczywał na Grupie Operacyjnej „Piotrków”, którą dowodził gen. Wiktor Thommée, a w skład której wchodziła 30 DP i Wołyńska Brygada Kawalerii. 2 września 1939 r. wojska niemieckie zdobyły mosty na rzece Prośnie w Grabowie — na północnym skrzydle Armii „Łódź” i — w Gidlach na Warcie — na południowym skrzydle Armii „Łódź”. Armia „Kraków” cofała się, podobnie Armia „Poznań”. W tej sytuacji położenie Armii „Łódź” stawało się bardzo niebezpieczne.

3 września 1939 roku Kresowa Brygada Kawalerii skierowana została w rejon miejscowości Blaszk z zadaniem osłaniania północnego skrzydła 10 DP, a tym samym i północnego skrzydła Armii „Łódź”. W rejonie działania GO „Piotrków” 2 pułk strzelców konnych Wołyńskiej Brygady Kawalerii dokonał wypadu do Kamieńska, gdzie zaatakował stacjonujący tam pułk strzelców zmotoryzowanych z 1 Dywizji Pancernej Wehrmachtu, zniszczył pojazdy i cysterny z benzyną.

Tego dnia w rejonie działania Armii „Łódź” stoczono 9 walk, w tym siłami kompanii — 1, siłami batalionu — 7 i siłami pułku — 1. Na południe od Radomska polska Brygada Bombowa zbombardowała kolumny 1 Dywizji Pancernej Wehrmachtu. W nalotach brały udział eskadry „Karasi” i „Łosi”.

Minęły trzy dni wojny.

Gen. Kazimierz Sosnkowski 1 września 1939 roku znalazł się — jak sam stwierdza — na „stanowisku pokojowym inspektora armii „Polesie”. Oczekiwał, że wezwie go marszałek Edward Rydz-Śmigły i powoła do walki na froncie. Ale nic takiego się nie stało. 2 września 1939 roku napisał więc list do Naczelnego Wodza z prośbą o powołanie do walki w pierwszej linii. Nie otrzymał odpowiedzi. Trzeciego dnia udał się do Kwatery Głównej marszałka Rydza-Śmigłego, która mieściła się w bunkrach przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, czym wywołał niemałe zdziwienie oficerów sztabowych.

„Po kilku minutach — wspomina w książce „Cieniom Wrze-

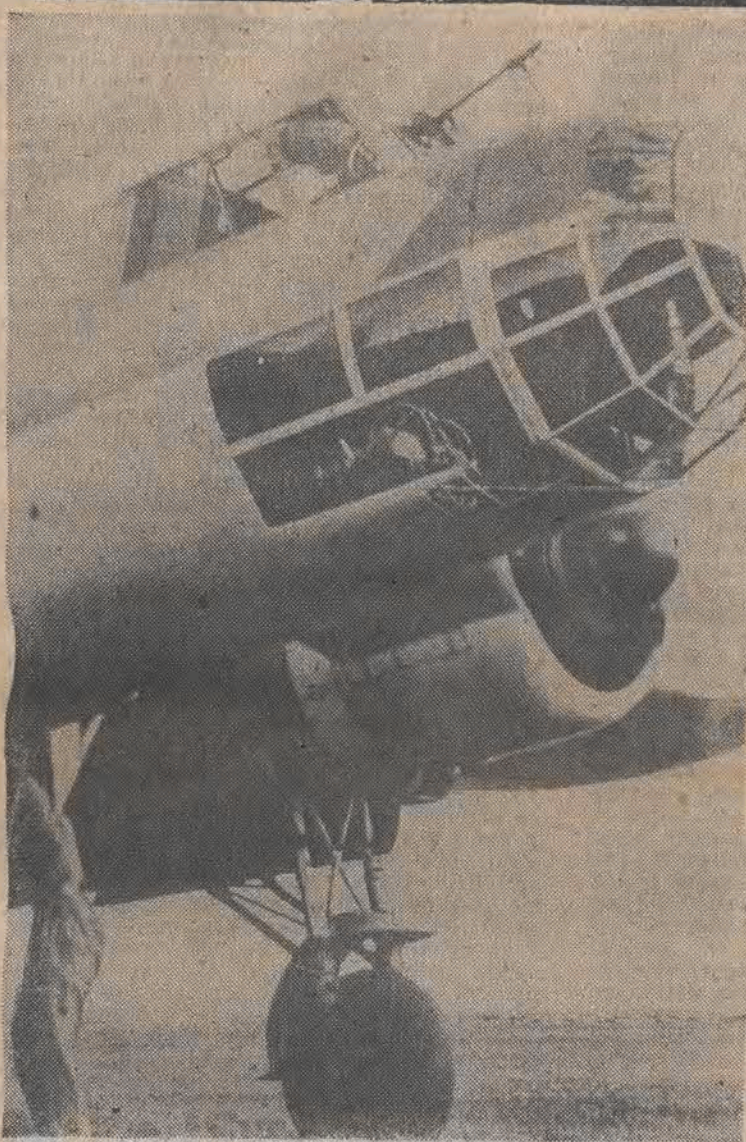
śnia” — zostałem wezwany do Marszałka. Przywitał mnie on d brule-point (znienacka, nagle — L.W.) słowami: — „Jest źle, jest bardzo źle, jest gorzej aniżeli źle”. Był wyraźnie przygnębiony; przez pewien czas milczał, chodząc po pokoju tam i z powrotem. Mówił z pewnym wysiłkiem. Dowiedziałem się, że front armii pomorskiej został przerwany, kawaleria jest w rozsypane. 27 i 9 dywizje są rozbite. Armia cofa się na całym froncie, mając odwrot odcięty; łączność z nią została zerwana. Na południu, w rejonie na zachód od Częstochowy, 7 dywizja została rozproszona, jej dowódca wpadł w ręce niemieckie. Generał Szylling, zagrożony z obu skrzydeł, postawił wniosek o wycofanie armii „Kraków”, na co Marszałek udzielił zezwolenia. Wobec odwrotu Szyllinga i Bortnowskiego armie Rómmila i Kutrzeby też muszę odejść do tyłu. Od strony Prus Wschodnich uwydatnił się silny nacisk na grupę operacyjną generała Przedrzymirskiego. Na tym odcinku kawaleria bije się dobrze, sytuacja 20 dywizji piechoty jest niejasna.”

Kilka wyjaśnień. Jak już wielokrotnie wspominałem 7 DP broniła rejonu Częstochowy i osłaniała skrzydło Armii „Kraków”. Dywizją tą dowodził gen. Janusz Gąsiorowski. Na czele Armii „Kraków” stał gen. Antoni Szylling. Armia „Pomorze”, którą wojska niemieckie w pierwszym uderzeniu rozbiły, dowodził gen. Władysław Bortnowski. Natomiast gen. Tadeusz Kutrzeba dowodził Armią „Poznań”, która z pierwszych dni wojny wyszła w stanie nienaruszonym i dlatego — pozbierawszy resztki Armii „Pomorze” i „Łódź” — mogła stanowić trzon wojsk polskich walczących nad Bzurą.

Gen. Kazimierz Sosnkowski dostrzegł w sytuacji polskich wojsk po trzech dniach walki poważne zagrożenie dla trzech armii: „Pomorze”, „Poznań” i „Łódź”. Otrzymał przydział do Armii „Karpaty”, po odmowie udziału w zreorganizowanym rządzie Felicjana Sławoja-Składkowskiego. I natychmiast wyruszył do swojej armii.

Wojna trwała nadal.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Dokumenty drugiej wojny światowej.

Luftwaffe na polskim niebie

Wrzesień 1939 wystawił niezatarte świadectwo barbarzyństwa i okrucieństwa hitlerowskiej Luftwaffe, wbrew późniejszym zabiegom niemieckiej propagandy, która, zaraz po polskiej kampanii, zaczęła tworzyć mit wzorowego, niemal rycerskiego wypełniania przez niemieckich lotników wyłącznie wojskowych zadań.

Jednym ze świadectw owej rzekomej nieskazitelności postępowania niemieckiego lotnictwa miała być książka: „Na lotnicy nad Polską” (Unsere Flieger über Polen), która ukazała się już w końcu 1939 r., a więc nie później niż w trzy miesiące od zakończenia działań w Polsce. Książka, z przedmową ówczesnego Generała Lotnictwa (General der Flieger) Alberta Kesselringa, który dowodził wówczas I Armią Powietrzną, a wojnę zakończył w stopniu Feldmarszałka, zawiera relacje z walk wrześniowych, pła czterech jego podkomendnych, dowodzących różnymi formacjami.

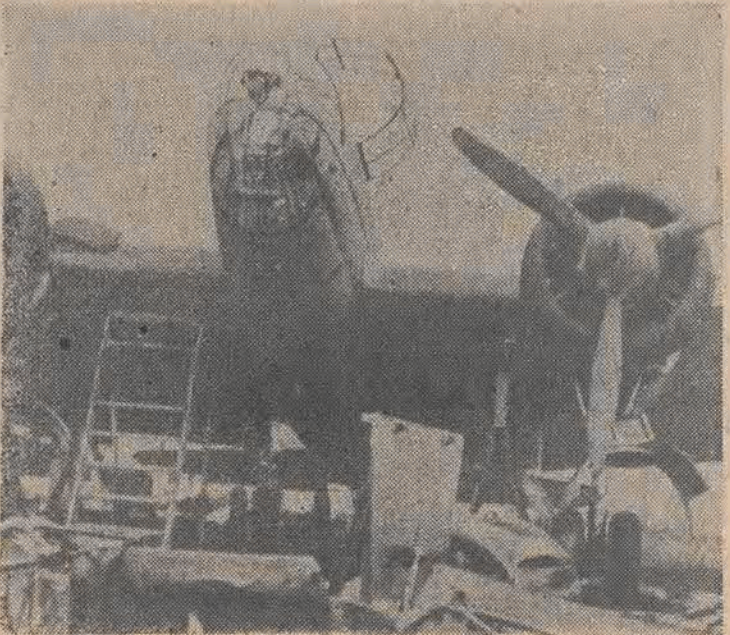
Autor przedmowy, być może dla usprawiedliwienia przed światową opinią bezwzględności poczynań niemieckiego lotnictwa wobec czysto cywilnych celów i cywilnych uciekinierów, powołał się na mowę swojego Führera z 6 października 1939 r., w której tenże twierdził, sławiąc bohaterstwo lotników na froncie polskim, iż „wiedzieli oni, że każde zestrzelenie, które nie przynosiło śmierci w powietrzu, mogło po wylądowaniu na ziemi doprowadzić do straszliwej masakry”. Zresztą ten motyw polskich okrucieństw powtarza się w książce wielokrotnie, odnosi się nawet do rzekomych prześladowań ludności niemieckiego pochodzenia przez Polaków jeszcze przed wybuchem wojny, cytując się też relacje dwóch niemieckich pilotów, zestrzelonych nad Polską, którzy musieli z bronią w ręku ukrywać się przed polskimi chłopami, dopóki nie udało im się przedrzeć do swoich.

Co do ściśle wojskowej strony działań, książka przynosi, można sądzić, bardziej obiektywne informacje. Dowiadujemy się np., iż jeszcze 3 września na przedpolach Warszawy niemiecka formacja bombardująca została zaatakowana, brawurowo zresztą, lecz nieskutecznie, przez grupę 30 polskich myśliwców, ponadto w każdej z czterech relacji znajdujemy wzmianki o polskiej artylerii przeciwlotniczej, która była sprawczynią większości zestrzeżeń niemieckich bombowców i budziła wyczuwalny respekt wśród ich załóg.

Nie brak też opisów bombardowania celów o znaczeniu wyłącznie wojskowym — lotnisk, linii i dworców kolejowych, mostów, koszar, radiostacji — na całym obszarze działań operacyjnej z Prus Wschodnich i Floty Powietrznej. Wymienia się w tekście lub pokazuje na reprodukowanych zdjęciach obiekty stałe lub ruchome cele m.in. w Warszawie, Brześciu, Kutnie, Koninie, Warce, a potem Piotrkowie i Sulejowie, i nawet Krakowie. Zdjęcia są doskonale technicznie, a wśród źródeł podaje się m.in. agencję... Associated Press.

O wielkiej operatywności niemieckiej propagandy wojennej świadczy fakt, iż w wymienionej książce reklamuje się jeszcze dwa tytuły z wrześniowej kampanii, wydane przez ten sam Deutscher Verlag.

JERZY KWIECIŃSKI



Wnocy Stefan Myszczyński miał sen. Przyszli do niego trzech bracia i ojczym, aresztowani przez Sowietów w lipcu 1945 roku. Wskazywali mu łopate, a jeden z nich powiedział: idź do lasu, odsłoń nasze kości, zapal chociaż świeczkę. Tak opowiadał sobie ludzi, a sam Myszczyński z Dworczyńska nad Czarną Hańczą mówi, że to częściowo tylko był sen, a częściowo — zrozumienie, że nastał już czas bez strachu. Bo on, Myszczyński, przez całe lata wiedział, gdzie trzeba kopać. Wielu w okolicy wiedziało, lecz wcześniej obawiano się zemsty. Zbyt wielu żyło takich, co mieli tę zbrodnię na własnym sumieniu.

Poszedł więc rankiem w głąb puszczy, na dziewiąty kilometr drogi z Gib do Rygoli. Nie opodal znajduje się uroczysko „Wielki Bór”, gdzie rośnie dąb-obrzym z konarami w kształcie świecznika. On jeden zatrzymał się bliżej drogi, w pięćdziesięciolecie sosnowym lesie, który wtedy, w lipcu 1945 roku sięgał zaledwie do ramion. Las ten znany był ludziom z tego, że krowy rzeźali w nim dziko, nie chcieli się paść. Gleba tam płaszczysta, lekka, łopata wchodziła gładko. Szybko dokopał się pierwszego szkieletu. Był 29 czerwca 1937 roku, dzień Świętego Piotra i Pawła.

Wieża o odkryciu zelektryzowała całą okolicę, liczne wsie i przysiółki na północnym wschodzie Polski, w Puszczy Augustowskiej.

W dwa miesiące po wojnie w Polsce urządzono na Polaków obławę.

Gdzie są ich groby?

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

nad Czarną Hańczą i Marycha, nad Biebrzą — wszędzie, gdzie pamiętano o „sowieckiej obławie”. Ruszyli do lasu krewni, bracia i siostry, ojcowie i matki, aby zapalać znicze, postawić krzyże, odmówić i wysłuchać modlitwy. Wszyscy z nadzieją, że odnaleźli wreszcie groby swoich bliskich.

Ruskie idą!

W maju 1945 roku, gdy w „stolicach Wielkiej Koalicji” cieszono się ze zwycięstwa, w oswojonej Niemców Polsce tyle było radości, co smutku. Na Białostocczyźnie przegladano się „solidatami” z satysfakcją, że wracają z Berlina, ale i z nieufnością, pamiętając okres „pierwszego Sowietu”, gdy trafiło stąd na Sybir wielu patriotów. Nie spodziewano się jednak powtórek w końcu — jak by na to nie patrzeć — miała być teraz niepodległa Polska... Jeszcze mniej obaw żyły dzieci: z okrzykiem „ruskie idą” biegnęły na spotkanie maszerującym kolumnom, obejmując się z bliską oswojonością.

W czerwcu krasnoarmiejców przybyło. Zarolili się od nich drogi i duki leśne, zajęli na kwatery niejedną chałupę, rozstawili gdzieś tam armaty i czołgi. Okrzyk „ruskie idą” rozlegał się coraz częściej. Zmieniała się także jego tonacja: w miejsce zwykłej, dziecięcej ciekawości zaczął się wkradać strach.

Pod koniec czerwca nie było już złudzeń: Rosjanie na dobre zaczęli rozprawę z byłymi partyzantami i sympatykami Armii Krajowej, traktując ich tak samo, jak faszystów. Informował o tym komendant okręgu AK, płk Władysław Liniański „Mściciel”, który alarmował rząd w Londynie:

„Do miast i miasteczek na terenie Białostockiego przybyły bataliony wojsk NKWD. Zakwaterowano je w szkołach i większych budynkach murowanych. Przygotowano dużą ilość piwnic jako więzienia (...). Są masowe aresztowania. W czasie obław, zwykle z rana, wieś są otaczane wojskiem NKWD z bronią maszynową. Kto chroni się ucieczką jest na miejscu mordowany”.

I bez terroru NKWD wielu było niezadowolonych z nowych porządków. Terror potęgował te nastroje, rodził samobronę. Ci, którzy wrócili po wojnie z lasu do zagrody, porwaczą znowu z zagrody do lasu.

Masowa obecność wojska wywołuje stan niepewności co do przynależności państwowej obszaru etnicznego pogranicza. Mnożą się plotki, iż chodzi o wyniszczenie „krajbranych” Polaków, aby „oczyszczyć” teren przez radziecką administrację. Obawy te zdają się potwierdzać, gdy 12 lipca 1945 r., ze wszystkich stron naraz, rusza wielka obława NKWD. Żołnierze oddziałów specjalnych przeczesują uważnie każdy kilometr. Przetrasają domostwa, buszuja w zaroślach, idą tyralierą przez pola i lasy. W puszczy znajduje się wówczas oddział „Groma” — plutonowego Władysława Stefanowskiego z AK, który nie dał się zastrzelić Niemcom (był tylko ranny podczas zdobywania posterunku żandarmerii w Lipku nad Biebrzą w 1943 roku), ani aresztować Rosjanom w 1944 roku. Pozostał w puszczy, grupując pod swoim dowództwem około 200 ludzi. Pierwszego dnia obławy dochodzi do potyczki nad Jeziorem Brożane (niedaleko położone są wsie Rygoli i Dworczyśko). Oddział „Groma” zostaje rozbity. Enkawudziści mordują rannych i jeńców, strzelając im w potylicę.

Obława idzie dalej. W każdej wiosce dochodzi do aresztowań. Poszukiwani są partyzanci (wszystko jedno, czy walczyli tylko z Niemcami, czy walczyli nadal z Sowietami), sympatycy AK, „wrogowie ustroju”, i w ogóle wszyscy, którym „le z oczu patrzy”. W

ten sposób dostaje się w ręce czerwonoarmistów wielu najzupełniej przypadkowych ludzi, wziętych być może w „zastępstwie” — na miejsce tych, których nie sposób było ująć, żeby zgadzała się liczba — albo też wycożanie, przez sowieckich balagan, z oficerskiego lenistwa, niejako przy okazji.

Stanisława Malinowskiego z Okółka zatrzymano, gdy jechał na rowerze do gimnazjum w Sejnach, na trzy dni przed maturą. Uciekł z ciężarówki na postoju, schował się w trzcinach nad Czarną Hańczą. Przez dwa następne lata ukrywał się w lesie, przystał do oddziału UB. Matury nigdy już nie zdawał. W więzieniu UN odsiedział 8 lat.

Henryk Chmielewski z Berżałowic, gnany kilkanaście kilometrów boso po żwirze i tłuczniu, uratował się opowieścią, jak to współpracował w czasie wojny z partyzantką radziecką.

Józefa Szwarca, który przez ostrożność nie stawiał się po odbiór wojennego orderu, doprowadzili do więziennego etapu niedawni sojusznicy. Jemu z kolei pomógł w zwolnieniu list od syna, co służył u generała Zygmunta Berlinga.

Inni, zabrani przez NKWD, zginęli bez wieści. W samym tylko Orzechowie zaginęli ślad wszelki po braciach Laskowskich, trzech chłopców i stryja wzięli od Molnierów, zgi-

nęli dwóch Przekopskich, dwóch braci Myszczyńskich, Bielewskich, Kamińskich, Rapczyńskich... To samo działo się w Berżałowcach, w Dworczyśku i Balinca, w Gruszkach, w Gibach i Pojeźniach, w dziesiątkach wiosek na Suwalszczyźnie i Białostocczyźnie.

Aresztowano tysiące ludzi, co najmniej 600 osób zniknęło bez śladu, w tym trzynaścioro dzieci i młodocianych. Mieszkańcy Gib pamiętają lub znają z relacji, że ciężarówką z więźniami wjeżdżała na drogę do wsi Rygoli, powracając mniej więcej co godzinę — po nową partię. Trakt leśny z Gib do Rygoli liczy sobie 16 kilometrów długości. Na dziewiątym kilometrze Stefan Myszczyński odkrył nieznane groby...

Teoria zdrady

W dwa tygodnie po odkryciu Stefana Myszczyńskiego, wiadomości o grobach pod Gibami obiegła Polskę, a za sprawą agencji prasowych powędrowała w świat. Leśna, rzadko uczęszczana droga zarośla się od samochodów, zaś Stefan Korboński, ostatni Delegat Rządu na Kraj, w wywiadzie dla „Głosu Ameryki” porównał Giby z Katyniem.

15 lipca 1937 roku, gdy doszło do pierwszej ekshumacji, nad utrzymaniem porządku czuwał oddział ZOMO, obiegany przez kilkadziesiąt osób, głównie okolicznych mieszkańców. Chcieli oni wiedzieć, co zostanie odsłonięte, chcieli mieć pewność, że nie, co zostanie rozpoznane, nie będzie przed nimi ukryte. W tym stanie ducha z niedowierzaniem przyjęto wiadomość, że odkopane szkielety są niewątpliwie szczątkami żołnierzy Wehrmachtu. Zgadzało się to z faktem, iż kwaterował w pobliżu niemiecki szpital polowy. Ludzi to nie przekonało. Szybkie przerwanie dalszych prac ekshumacyjnych wzbudziło dodatkowe podejrzenia. Jeśli nawet jest prawdą, że odkopano Niemców — argumentowali — to jaką mamy pewność, że tuż obok, w niekniętej jeszcze łopaty ziemi, nie leżą kości naszych bliskich? Wszak nie lepsze groby oprawy nie mogli wymyślić, jak „podciążyć” się pod znane im wcześniej niemieckie mogiły!

Prokuratorowi Waldemarowi Monkiewiczowi z Białostockiej Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce (a swoją drogą, nazwę tej instytucji należałoby może uzupełnić?) wystarczyło jednak tych kilka szkieletów, aby stwierdzić autorytatywnie, że odkryto niemiecki cmentarz polowy. W Monkiewicz powiedział to w „Interpresie”, siedzący zaś obok Jerzy Urban dodał, iż „dzisiejsze władze polskie niczego w tej chwili nie wiedzą o tym, aby w przeszłości ktokolwiek w tajemniczy sposób zaginał”.

Możliwe, że władze „w tej chwili” niczego nie wiedziały. Coraz więcej informacji napływało za to do Obywatelskiego Komitetu Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zagnionych w Lipcu 1945 r., który ukonstytuował się 2 sierpnia 1937 r. w Suwałkach. Komitet, korzystający z pomocy nielegalnej wówczas „Solidarności”, spotkał się z nerwową reakcją miejscowej administracji. W Urzędzie Wojewódzkim w Suwałkach nakazano działaczom, aby przestali poszukiwania „mogące wywołać niepokój społeczny”. Zakaz działalności wywołał z kolei niepokój w kręgach opozycyjnych w Warszawie. Protest w tej sprawie, podpisany przez 56 intelektualistów, trafił do Rady Państwa.

Pomimo zakazu, suwalscy działacze zbierali nadal informacje. Jeździli w teren, choć przeszkadzała milicja, przeprowadzili setki rozmów, otrzymali dziesiątki listów. Często powtarzał się jeden szczegół: otóż — wspominają ludzie — enkawudziści dysponowali gotowymi listami nazwisk, z których korzystali przy aresztowaniach. Skąd je mieli? — zastanawiają się do dzisiaj, i z domysłów tych wykluła się teoria zdrady. Ireneusz Sewastjanowicz, dziennikarz suwalskich „Krajobrazów”, podaje w swym artykule, który to z byłych żołnie-

rzy AK stał się później najlepszym dla NKWD i UB konfidentem.

Pisze o nim:

„Kiedy po wyzwoleniu został pracownikiem UB, zaczął od zamykania dawnych kolegów. Ci, którzy przeżyli, pamiętają, że wyróżniał się wyjątkowym bestialstwem (...). Towarzyszył enkawudziście, pomagał w sporządzaniu list, wskazywał ofiary. Doceniono jego zasługi. Został szefem augustowskiego PUPB, później awansował do Białegostoku. Po Październiku przekwalifikował się na rzeźbiarza ludowego. Odnosił sukcesy, nie narzekał na brak pieniędzy. (...) Dopiero po śmierci przestał być groźny. Jego grób zbyszczeszczono już kilkakrotnie”.

Są tacy, co utrzymują, że winni są też niektórzy partyzanci radzieccy z oddziału Orłowa, zrzućeni na spadochronach do Puszczy Augustowskiej. W czasie wojny strzelali do faszystów wraz z AK-owcami, może już wtedy przyglądali się zamykaniu polskim, chwilowym sojusznikom? Chyba tak — myślą sobie — bo kilku z oddziału Orłowa rozpoznano potem wśród enkawudziści!

Jeszcze inni wysuwają kolejne hipotezy. Wszyscy — niepewne, a możliwe, że krzywdzące.

Na szczęście pytanie o zdradę nie jest dla ludzi najważniejsze. O wiele ważniejsza jest dla nich odpowiedź na pytanie, gdzie znajdują się groby ich bliskich. Wielu z tych, co przeżyli, stoi już nad własnymi grobami. Zanim odejdą, chcą zapalić świeczkę na mogiłach ojców.

A gdzie leżą nasi?

Od pierwszej ekshumacji minęły ponad dwa lata. Powiały nowe polityczne wiatry. Kontrowersje wokół znaleziska pod Gibami stały się w Suwałkach jednym z głównych tematów kampanii wyborczej do Sejmu. Posłowie z „Solidarności” obiecali, że sprawa będzie wyjaśniona do końca. Zrobił też swoje bezustanny nacisk miejscowej opinii publicznej. Wreszcie stało się — pod koniec czerwca 1939 roku wiadome już było, że wojewoda suwalski wysygnął 10 mln zł na przeprowadzenie nowej, gruntownej tym razem ekshumacji.

Giby ponownie znalazły się na łamach prasy, drogą do Rygoli znowu popędzili przez las auta. Nie było tylko oddziału ZOMO. Prace, rozpoczęte 8 sierpnia 1939 r., podjęte zostały siłami miejscowej ludności. Chętnych nie zabrakło...

9 sierpnia 1939 r. na dziewiątym kilometrze parkowało kilkadziesiąt samochodów. Oczy gapiów utkwiły w dołach, obwiedzionych żółtymi wałami piachu. Łopaty odsłoniły kilkanaście ludzkich szkieletów, leżących na niewielkiej głębokości, z wyraźnymi śladami oddzielnego grzebania. Z pewnością nie mogły to być ofiary masowej egzekucji. Widoczne były resztki wojskowego ekwipunku: szelki, strzępy odzieży, a w jednym wypadku — żołnierskie buty. Znalezione też różne przedmioty: magazynek z nabojami, zegarek i pałecznik, a przy ośmiu pogrzebanych — blaszane znaczki identyfikacyjne, noszone przez żołnierzy Wehrmachtu. Te, a także i inne szczegóły (jak choćby doskonały stan ubrań) nie pozostawiały wątpliwości, że prokurator W. Monkiewicz, choć może wydał swą opinię nazbyt pośpiesznie, miał jednak rację: oto leżeli tu Niemcy, nie Polacy.

Robotnicy próbowali jeszcze kopać, raz w tym, raz w innym miejscu, ale bez wiary, że coś nowego odnajdą. Starsze kobiety wyrażały po cichu swój zawód. Inne, podchodząc do dołów, komentowały:

— Patrzcie, jacy młodzi... I po co im to było, po co ta cała wojna...

— To Niemcy, ale i ludzie, należy im się choć krzyżyk...

I tylko jeden z gapiów, najwyraźniej turysta, nie dawał się przekonać:

— Sowiecka propaganda — odpowiadał na wszelkie argumenty, iż leżący nie są ofiarami NKWD.

Lepiej poinformowani wiedzieli już, że z RFN nadeszła lista 49 nazwisk żołnierzy niemieckich, pochowanych koło Gib, łącznie z danymi, gdzie i kiedy zginęli. Wcześniej o znalezisku powiadomiono ambasadę RFN w Warszawie. Przypuszcza się, że rodacy pogrzebanych zechcą ten teren uporządkować, albo też dokonają ostatecznej ekshumacji, przenosząc zwłoki za Łabę.

Pytanie „a gdzie leżą nasi” wisiało jakby w powietrzu. Wymieniano inne miejsca, w których mogą się jeszcze znajdować groby: może w fortach pod Grodnem, albo gdzieś za granicą litewską, a może nad jeziorem Brożane, gdzie leżą też pewnie ludzie od „Groma”?

Puszcza jest wielka, a za nią — rozległe tereny litewskie, białoruskie... W jakimś leśnie, pod wsią, albo w polu, czy nad jeziorem — leży kilkusiet pomordowanych. Działacze z Komitetu Poszukiwań zapewniali, że nie spoczną... Na razie będą kopać trochę dalej, na jedenastym kilometrze do Rygoli, gdzie gajowy znalazł po wojnie warkocz dziewczyny, która także zginęła...

PS. Stanisław Kulikowski, dziennikarz z Suwałk, ogłosił w „Gazecie Współczesnej” następujący apel:

„Poszukujemy nie brak dobrej woli. Pragniemy wykonać swoje zadanie, dobrze i do końca. Ale muszą być ślady konkretne. Przekopać całej puszczy nikt nie jest w stanie. Stąd raz jeszcze ponawiam apel. Również do byłych pracowników Urzędu Bezpieczeństwa. Wiem, że to nie ten Urząd decydował o aresztowaniach i losie aresztowanych. Ale być może ktoś coś wie. To przecież była ogromna akcja”.

Nieznane fragmenty „Dziennika” Dawida Sierakowiaka

Minęła 45 rocznica likwidacji „Litzmannstadt Getto”, najczarniejszego, a jednocześnie najbardziej odizolowanego od świata zewnętrznego i najdłuższego „tolerowanego” przez oprawców skupiska ludności żydowskiej na terenach okupowanej Europy. Jednym z wstrząsających dokumentów tamtych zbrodni są zaskakujące „Dzienniki” Dawida Sierakowiaka przypadkowo odnalezione po wojnie. Dwa zeszyty, ujawnione w 1947 roku zostały opracowane i dwukrotnie wydane nakładem „Iskier”. Kilka lat później, dokładniej w 1963 roku, okazało się, że zachowały się jeszcze trzy zeszyty z zapisami niewątpliwie tego samego autora, obszerniejsze i bardziej dramatyczne w swojej przejmującej wymowie. Przedstawiamy niepublikowane dotąd fragmenty ostatniego zeszytu odnalezionych „Dzienników”, pisanych w całości w języku polskim. Urywa się on w czwartek 15 kwietnia 1943 roku, niemniej tuż przed śmiercią z głodu i wycieńczenia 18-letniego chłopca zamkniętego w łódzkim getcie. Z ocalałej karty zgonu wiadomo, że zmarł on 9 sierpnia 1943 roku... Autentyczność rękopisu nieodparcie dającego świadectwo wstrząsającej tragedii, potwierdzoną przez historyków faszystów, potwierdzoną specjalistycznymi badaniami analitycznymi i autorytatywnymi ekspertów w zakresie grafologii i palimnacji. W Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie przechowywane są m.in. karty meldunkowe z łódzkiego getta autora „Dzienników”, jego rodziców i siostry Natalii. Z osób, które wymienia po nazwisku wojnę przeżyło zaledwie kilka. Poznałem cztery osoby, które przed wojną uczęszczały do tej samej szkoły, gimnazjum żydowskiego, którego prymusem był Dawid Sierakowiak. Dwóch jego szkolnych kolegów, wybitnego historyka oraz biznesmena poznałem w Nowym Jorku, jeden osiadł w Wiedniu, a jeden jest dziennikarzem w Warszawie.

Obszerne fragmenty „Dzienników” wykorzystane zostały przez amerykańskiego reżysera Alana Adelsona w prezentowanym poza konkursem na ostatnim festiwalu w Berlinie Zach. filmie dokumentalnym pt. „Litzmannstadt Getto”, opartym niemal wyłącznie na fotografiach i autentycznych materiałach dotyczących okrutnego losu ludności żydowskiej, głównie pochodzenia polskiego, za murami łódzkiego getta. Muzeum Historii Miasta Łodzi czyni zaawansowane już starania o zorganizowanie w Łodzi uroczystej prapremiery tego filmu z udziałem jego polskich i amerykańskich twórców.

KONRAD TUROWSKI

Czwartek 18.II. Łódź — Nadzia odebrała dziś kartofle (zaczęli je wydawać), wzięła u lekarza kwalifikację do szpitala dla ojca, ale najprawdopodobniej nie z tego nie będzie, bo na choroby wewnętrzne do szpitala bez kolosalnej protekcji nie przyjmują.

Dostałem talon na 3 kg rzodkwi. Kupilem sobie parę trepów za 6 RM. W drodze powrotnej spotkałem Rywka Skoczysła, który jest konduktorem na tramwaju gettowym i przywiózł mnie aż do domu. Po raz pierwszy od czasu przybycia do getta używałem jakiegokolwiek bądź środka lokomocji. Może uznać to za znak rychłego końca?

Z polityki nic nowego. Pogody ciągle znakomite. Znowu wysłano z Czarnieckiego 50 osób do Niemiec. Niby na robotę do Niemiec, ale nie pewnego nie wiadomo.

Piątek 19.II. Łódź — Wysza dziś racja 15 dkg kiełbasy i 10 dkg konserwowanego mięsa (z beczek).

Niemcy przyznają się dziś w getcie do oddania Charkowa. (...) Dostałem pozytywną odpowiedź na moje podanie o pożyczkę i otrzymałem już 80 RM. Wczoraj Bande interweniował znowu u Tajtelbauma w mojej sprawie. Gdy byłem dziś po zakupie Tajtelbaum znowu mi odmówił, ale potem specjalnie po mnie przysłał. Niby są bardzo ściśle kontrole i przed południem nie mógł mi dać, bo był kontroler. Grunt, że dostałem.

Gdy wracałem do domu wstałem do znajdującego się niedaleko naszego biura ukrytego sklepuku spożywczego, aby wziąć kilka cukierków (po 50 pf sztuki najtańszy) z okazji otrzymania pożyczki i aby zrobić frajdę w domu. Przy stoliku zauważyłem jednego z moich starych kolegów szkolnych z pierwszych lat w „Jabne” Elka Opatowskiego. Chłopak ten wdał się w najrozmaitsze podziemne roboty i słygał na początku getta jako znany zawadiaka i złoty młodzieniec spod ciemnej gwiazdy. Niemniej jest to chłopak o złotym sercu czego dowód dał właśnie dzisiaj. W chwili, gdy go ujrzałem zajął solidną porcję chleba, który smarował smalcem (5 RM za dkg). Bez słowa ukroił kawałek chleba, posmarował smalcem i zmusił mnie wprost do jedzenia. Zgadaliśmy się i po wyjściu z knajpy wsunął mi w rękę 10 RM, przejął się bowiem moją sytuacją i chorobą ojca. „Oddasz kiedyś bezdziesięć mi?” Po chwili już go nie było. (...) Sobota 20.II. Łódź — Byłem dziś po południu u Wolmana. Wprawdzie ledwie chodzę przez tę przeklętą ranę na nodze, ale w domu nie mogę usiedzieć. Ze świerzbą coraz gorzej. Mam już pełno strupów na ciele i męczarnie moje są okropne. Muszę już jutro nieodwołalnie pójść do lekarza. Z polityki nic nowego. Pogody znakomite. Wysza racja 15 dkg kiełbasy.

Poniedziałek 22.II. Łódź — Skonczyły się już nam warzywa i Nadzia gotuje teraz zupę dla trzech osób z 1/2 kg kartofli i około 5 dkg „kolonialki”. Z trudnością dociągamy do nowej racji. Z moją świerzbą coraz gorzej. Na czlonku mam już na pewno zapalenie skóry. Jutro nieodwołalnie idę do lekarza. W polityce nic nowego.

Wtorek 23.II. Łódź — Byłem dziś u lekarza. Okazuje się, że moje leczenie świerzby wodą siarkowodorową wywołało nie polepszenie, a pogorszenie, coś w rodzaju zapalenia skóry, zapisał mi maść do smarowania całego ciała i maść do smarowania czlonka. Ale okazało się, że pierwszej maści nie ma. Wróciłem więc znowu do lekarza, który zmienił mi receptę. I tym razem nie dostałem, bo ilość była za duża. Poszedłem więc do apteki na Rybną, gdzie kierownikiem jest Blaustajn, który przez protekcję przyrzekł zrobić 1/4 zapisaną maść. Dowiedziałem się u niego, że Kuba miał zapalenie płuc i oplotnej i wodę w płucach. (...) Wieczorem wysmarowałem się cały otrzymaną maścią, która na nieznacznie jest brązowa i uczyniła ze mnie murzyną. Nie wiem jak będę jutro wyglądał w biurze, bo myć bez pozwolenia lekarza się nie odważy. A ma to smarowanie trwać przez 5 wieczorów. Szóstego wieczoru nie mam robić, siódмого umyć się, a na ósmy dzień pójść do lekarza. Bardzo możliwe, że cała ta robota na nic, bo ojciec obspany od stóp do głów. Nadzia też nie w porządku. Po kilku dniach znowu się zaraża. Z polityki beznadziejna cisza.

Sobota 6.III. Łódź — Mój nieszczęśny, potężny niedyś, ojciec umarł dziś o czwartek po południu. Przez noc osłabił tak, że z rana leżał już prawie nie mogąc się poruszać. Było mu coraz ciężiej oddychać, nie oddawał zupełnie moczu i bardzo mało mówił, aczkolwiek cały czas był zupełnie przytomny i zdawał sobie ze wszystkiego sprawę. (...) NR 37 (1641), 10 WRZEŚNIA 1989 R.

Uroczystość na kirkucie

30 sierpnia na terenie Cmentarza Żydowskiego w Łodzi odbyła się uroczystość związana z 45 rocznicą likwidacji „Litzmannstadt Getto”, miejsca bestialskiej kazi tysięcy łódzkich Żydów. Przybyli z tej okazji do Łodzi Żydzi z różnych stron świata, a wśród nich około 150-osobowa grupa mieszkańców Izraela, pochodzących z Łodzi. Obchody zorganizowała Kongregacja Wyznania Mojżeszowego. Uroczyste nabożeństwo celebrował naczelny rabin Polski Pinchas Menachem Joskowicz, a stosowne pieśni-modlitwy poprowadził kantor izraelski, były solista opery wrocławskiej, Szymon Lewin. Doszło do wzruszających spotkań garstki cudem uratowanych z zagłady ludzi. Popłynęły łzy, ale — i to trzeba powiedzieć, popłynęły słowa niewspółbrzmiejące z powagą chwili i kontekstem tragicznej rocznicy. Otóż, pan Zygmunt Nissenbaum, twórca i główny sponsor Fundacji Rodziny Nissenbaumów w Polsce, stwierdził, iż ta Polska istnieje dziś dzięki pieniądzą, jakie od nich otrzymujemy. Zapomniał chyba o tym, że wielu z nich istnieje dziś dzięki Polakom, którzy narażając życie nie tylko własne, ukrywali Żydów i

pomagali im przetrwać czas barbarzyństwa. Powiedział o tym inny mówca przypominając, że spośród odznaczonych medalem „Sprawiedliwy wśród narodów świata” — przyznawanym właśnie za ratowanie Żydów — najwięcej jest obywateli polskich. Wypominał więc dobrowolnie darowanych pieniędzy — zresztą na ratowanie Żydów — w polskiej kulturze w Polsce — i w ogóle jakiegokolwiek kupieckiego przeliczania dolarów przy takiej akurat okazji, nie było chyba na miejscu. Pan Nissenbaum prosił również w swym przemówieniu kardynała Glempa o cofnięcie słów wypowiedzianych na Jasnej Górze, na temat klasztoru sióstr Karmelitanek Bosych, usytuowanego na terenie obozu zagłady w Oświęcimiu. Znamienne jest, że spośród dziesiątków narodowości, których przedstawiciele zginęli męczeńsko w Auschwitzu, tylko Żydzi protestują przeciwko usytuowaniu klasztoru, widząc w tym przejaw antysemityzmu. Tak, jakby uwiązano to w jakikolwiek sposób pamięci pomordowanych. Później, Arnold Mostowicz, autor wstrząsającej książki wspomniowej pt. „Żółta gwiazda i czerwony krzyż”,

który był lekarzem w łódzkim getcie, wyraził słusze oburzenie, że historia łódzkiego getta była przekłamywana, a nawet przemilczana w dotychczasowych polskich wydawnictwach encyklopedycznych, a duże dzieło historyczne mówiące o getcie zniszczono z powodów politycznych. Tak więc zale mieszały się ze wzruszeniami, uroczystość jednak przebiegała godnie i w nastroju powagi, a modliwa rabin Joskowicz, nawet na nie znających języka, wywarła wielkie wrażenie swym dramatyzmem i ekspresyjnie wyrażonym bólem. Po południu przedstawiciele delegacji żydowskich spotkali się z władzami miasta, których to władz znaczniejsi przedstawiciele nie pojawili się czemuś wcześniej na cmentarzu, a w Muzeum Historii Miasta Łodzi otwarto wystawę unikatowych fotografii, przedstawiających tragedię Żydów w łódzkim getcie. Tekst: MAREK KOPROWSKI Foto: GRZEGORZ GAŁASIŃSKI



Niedziela 7.III. Łódź — Cała noc przeleżałem jak i Nadzia bezsenność. Nadzia nie rozbrajała się i w palce leżała na moim łóżku. Z rana wujek załatwił formalności u lekarza i w Wydziale Pogrzebowym, a około pierwszej obmyto ojca według rytuału, w mieszkaniu, podczas czego leżałem odwrócony do ściany, zaś o trzeciej przybył karawan. Przez ten czas tak się podnieciłem, że znów dostałem wyższą temperaturę. Jestem w najwyższym stopniu zdenerwowany i wystraszony i nie mogę nawet mierzyć gorączki, bo dręcały, gdy tylko wkładałem termometr. Wezwaliśmy dzisiaj, felczera za 5 RM, który po zbadaniu mnie oświadczył, że najprawdopodobniej gorączka jest infekcyjna z ranki od odmrożenia, którą mam. Płuca zaś znalazły w porządku. Zapiła też lekarstwo i maść i kazał leżeć w łóżku, co zdaje się będzie niemożliwe do wykonania, bo zwiariuję, jeśli zostanę jeszcze dzień w domu sam na sam z moimi myślami, strachem i wspomnieniami. (...)

Poniedziałek 8.III. Łódź — Leżałem dziś jeszcze w łóżku, bo gorączka nie ustępuje. Jestem jednak tak podniecony, że wszyscy prawie radzą mi, abym wstał, nie mierzył gorączki i poszedł do pracy. Uczynię tak i jutro nieodwołalnie idę do pracy. Był dziś przed południem u mnie Fuks, szwagier cioci Esler, u którego znajduje się palto letnie ojca oddane do przerobienia. Pozwoliłem mu je sprze-

Nad gettem znów czarne chmury

dać, zatrzymać sobie należność za robotę i resztę nam zwrócić. Będziemy mieli chociaż kilka marek.

Został nam po ojcu 1 kg chleba, serek, trzy łyżeczki cukru i około dwóch dkg oleju. Z tego nie sprzedajemy nic. Hamerowie odebrali nam już rację masła, sera i proszku mlecznego. Także mam teraz łącznie z zupą z biura jak na ostatnie tygodnie solidnie do jedzenia. Tylko, że moja gorączka, leżenie w łóżku i smutek dobijają mnie i przyprowadzają o palpitację serca. W nocy budzę się z biciem lub osłabieniem serca i długi czas nie mogę zasnąć. Nie mogę już doczekać się jutra, gdy będę mógł pójść do biura.

Nadzia była dziś u Podlaskiego, który kazał jej przyjść dopiero za kilka dni, bo nie ma jeszcze pracy. Niemniej ona pójdzie do jutro ponownie i jeszcze raz go poprosi tłumaczyć, że nie będzie mogła usiedzieć w mieszkaniu. (...)

Wtorek 9.III. Łódź — Jak postanowiłem tak zrobiłem. Cisnąłem do wszystkich diabłów termometr i poszedłem dziś do biura. Gorączkę mam jednak w dalszym ciągu.

W biurze czekała nas dzisiaj heca, od której głośno jest w całym getcie. Przyszeli dziś do naszego wydziału Biebow z Gethoverwaltungu i zwiędzi z Fuksiem całe biuro. W wyniku tej wizyty (był też w Wydziale Personalnym, w Gospodarczym) będą musieli wszyscy urzędnicy i urzędniczek w wieku poniżej 40 lat opuścić biura i pójść do resortów i pracy publicznej, zaś na ich miejsce weźmie się starych i wyczerpanych robotników. W każdym prawie pokoju biura była awantura z powodu nagromadzenia tylu młodych sił, na domiar złego malowanych i ładnie ubranych. Biebow zlikwidował też mianowanych trzech kierowników naszego wydziału (oprócz Fuksa). Andersa, Urysona i Siennickiego, oddając całą władzę kierowniczą Fuksowi. Siennickiego, który mając specjalną protekcję Rumkowskiego jest wypasiony jak byk, wyrzucił w ogóle. Uryson i Anders zostają zwykłymi urzędnikami. Aczkolwiek wszystkie te zmiany godzą we mnie, niemniej oczyszczanie biur ze zdrowej, malowanej i aroganckiej hordy protekcyjnej nie nie zaszkodzi.

Niemcy znów idą na frontie rosyjskim naprzód. Dostałem dziś niespodziewanie jednorazową dodatkową zupę. Nadzia pracowała już dzisiaj, gdyż Podlaski wobec jej argumentów przyjął ją i skierował do grupy młodocianych, gdzie pracuje się tylko 5 godzin dziennie. Wyszła dziś racja 1 kg marchwi i 1/2 kg buraków. Nadzia już je odebrała. Leczą ciagle moje rany i wrzody, których nie mogę się pozbyć. Chciałbym się jednak raczej gorączki pozbyć. Byłoby być przeciętnie zdrowym. (...)

Czwartek 11.III. Łódź — Dziś okazało się, że na razie nie taki diabeł straszny jak go malują. Wprawdzie nadszedł do biura oficjalny list Gethoverwaltungu o ściśle wykonanie wszystkich rozkazów Biebowa, ale w międzyczasie na skutek rozmaitych zakulisowych machinacji w wyższych sferach, przekazano akcję oczyszczania wydziałów z elementu młodego — Rumkowskiemu, który ostatnio tak zjechał, że faktycznie żadnej funkcji nie ma. Rumkowski zaś wziął sobie do pomocy swego ulubieńca Siennickiego, który po zdegradowaniu go przez Biebowa pójdzie teraz jeszcze bardziej w górę. Dziś o wpół do siódmej „stary” przyjechał z Siennickim do naszego wydziału, aby osobiście skłasyfikować urzędników. Nie pozwolono nam pójść do domu i trzymano do późnego wieczora. Gdy miał przyjechać Rumkowski zawieszono w gabinecie Fuksa z powrotem jego portret który zdjęto na rozkaz Biebowa. Po konferencji między „starym”, Fuksiem, Siennickim, Andersem, Urysonem i Frankiem — szefem byłego Wydziału Personalnego (który teraz będzie częścią naszego wydziału) wezwano wszystkich urzędników na przegląd. Kolejno wchodzą do gabinetu „stary” zaś zadawał po kilka pytań i kazał Siennickiemu zapisać czy dany urzędnik zostaje czy też resort, do którego go przetranszkuje.

Ze mną miał Rumkowski dość długą rozmowę (po żydowsku naturalnie, w „literackim” dialekcie) o szkole, o rodzinie, zdawał się znać nasze nazwisko, zaś gdy powiedziałem mu, że byłem najlepszym uczniem powiedział, że to Niemcy nie obchodzą. W rezultacie kazał Siennickiemu zapisać, że mam zostać w biurze. Prawie całą młodzież skierował do rozmaitych resortów. Niektórym dał nawet talony na urlop w Helmie, a jednej urzędniczce, którą tak przestraszył, że zemsta kazał natych-

miast wydać chleb, 10 dkg masła i 20 dkg cukru. Gdy defilowały przed nim młode dziewczęta to aż podskakiwał. I tacy to szaleńcy, zboczeńcy i zbrodniarze rządzą nami, stanowią o naszym odżywianiu, pracy i zdrowiu. Nic dziwnego, że Niemcy nie chcą się mieszać do wewnętrznych spraw getta: Żydzi sami doskonale się wymordują i wycisną z siebie maksimum produkcji. Wróciłem do domu przed dziesiątą. Nadzia była wystraszona, zupa zaś zimna. Gorączkę mam w dalszym ciągu. Będę jutro u lekarza skórno-żłoty z mymi strupami i podrażnioną skórą. Może to jest powodem gorączki. (...)

Wtorek 16.III. Łódź — Wczoraj przyjechało z Niemiec (spod Poznania) 850 robotników, którzy mają być zatrudnieni przy rozbiórkach. Są oni jednak w tak opłakanym stanie, że w ogóle nie można ich na razie zatrudnić. Byli oni w obozie, który był dosłownie wykończalnią, bo do dziś wymarło tam 80 do 90 proc. zatrudnionych robotników, którzy wyjechali z getta, reszta zaś to Żydzi zebrani z różnych innych miast. Maltretowano ich w najrozmaitszy sposób, robota była nieludzka a wikt gorszy niż u nas w najgorszym okresie. Bill ich Niemcy i kilkunastu Żydów tzw. „Gruppenführerów” (...), którzy wyglądają całkiem nieźle. Jak i u nas znaleźli sobie tam Niemcy Żydów, którzy całkiem dobrze wykańczają swych braci. W polityce nic nowego. Kompletna cisza i bezradność. (...)

Piątek 19.III. Łódź — Wyszła dziś po sześciogodzinowej przerwie racja mięsa (20 dkg) i kiełbasy (15 dkg). W polityce nic nowego. (...)

Sobota 20.III. Łódź — Też nocy był solidny alarm z dodatkami jednej detonacji i kilku strzałów z zenitówek. Niemcy zajęli jednak Biegorad i idą dalej. Wyszła dziś znów racja 5 dkg cukierków za 2 RM. Ostatni dzień zimy nie przynosi żadnych zmian. (...)

Poniedziałek 23.III. Łódź — Nad gettem znów zwisają ciężkie chmury. Niemcy zażądali wszystkich robotników przybyłych w ostatniej partii do getta, których wieczorem zabrano na Czarnieckiego. Podobno dobrano nawet więźniów. Naturalnie, że już krążą plotki o wysiedleniu itd.

Przemawiał Hitler, który powiedział, że sytuacja dla Niemców znów jest doskonała, że Rosjanie są powstrzymani i ofensywa niemiecka w toku, że inwazji się nie obawia, że na samoloty nieprzyjacielskie ma radykalny środek itd. itd. A Churchill podobno powiedział, że wojna skończy się (...)

Czwartek 25.III. Łódź — Dzisiejszy dzień znów zapisał się nerwowym drżeniem strachu w naszych mózgach i pamięci. Około godziny ósmej rozpoczęło się na ulicach getta zatrzymywanie i łapanie ludzi przez policjantów z Sonderabteilung. Jak podczas (...) brano i teraz „klepsydry” starych i takich, którzy by nie mogli wylegitymować się legitymacją pracy. Gromadzono ich w rewirach i na Czarnieckiego, gdzie segregowała ich komisja złożona z prezesa sądu Jakobsona, komisarza komisji śledczej Blemera i jeszcze innych. Część wypuszczono, ale moc ludzi zatrzymano. Najprawdopodobniej chodzi o jakieś wysiedlenie na szmalc. Nic jednak w getcie nie wiadomo. Stało się to jednak pewnie w związku z przyjazdem do getta niemieckiego ministra spraw pracy doktora Leya, największego antysemitę w rządzie hitlerowskim. Ley przemawiał w Łodzi podobno tak żydożerczo jak jeszcze nikt i nigdy. Przrzekł wytepić Żydów jak pluskwy. Wróciłem dziś do domu o czwartej, bo mówili, że wieczorem mają znów łapać, a ja w moich łachmanach i trepacz i z biedną twarzą niespecjalnie się prezentuję. W polityce nic nowego. Z żywnością coraz gorzej.

Piątek 26.III. Łódź — W dalszym ciągu nie wiadomo. W nocy brano z łóżek trochę ludzi, ale w dzień było spokojnie. Część zatrzymanych osób się zwalnia. Wyszła dziś racja na najbliższe 14 dni. (...)

Sobota 27.III. Łódź — Arbeitsamt-Getto wyda teraz dla wszystkich robotników w getcie nowe karty pracy ze zdjęciem, podpisane przez Biebowa. Nadeszły już do nas druki tych legitymacji, z których jedną sobie buchnąłem. Nadzia odebrała dziś rację, buraki i nawet kartofle. Znowu jest coś do pocieszenia serca. Byłem dziś na drugiej lekcji u Podlaskich. Zupa nie o wiele lepsza niż wczoraj, ale oni zra pierniki, galery i kotlety. Dostałem dziś w biurze już po raz trzeci „Zusatz” czyli dodatkową zupę od Milgrama, który ostatnio otrzymał do dyspozycji pewną ilość takich zup i pamiętał o mnie. Pogody prześliczne. Dziś było wprost urocz. W polityce nic. (...)

Poniedziałek 29.III. Łódź — Dostałem dziś nowego ucznia jako drugiego do lekcji z czercką Podlaskiego (trzy razy w tygodniu). Jest to mały braciśzek Radzynera. Będę więc i od Radzynerów otrzymywał trzy razy w tygodniu zupę. Sytuacja w getcie znów się robi niewyraźna. Podobno mają zgromadzić do wysiedlenia wszystkich chorych.

Byłem wieczorem u Radzynerów, gdzie przy okazji pomówiłem z Niutkiem, który jest chory na odrę. Niutek zaproponował mi tłumaczenie jakiejś książki Lenina z żydowskiego na polski. Podjąłem się tego chętnie i w najbliższych dniach rozpocznę pracę.

Podobno powstrzymano Niemców na sowieckim froncie, a Tunisi mają ich lada dzień wykończyć. Ale o inwazji ciagle nie ma mowy. Niemieckie łodzie podwodne działają solidnie. Przesunięto dziś zegary o godzinę naprzód, znów na wiosenny czas. Zarobiłem więc godzinę pracy biurowej. (...)

DAWID SIERAKOWIAK

OD REDAKCJI: Wyjaśnienie występujących w tekście nazwisk i nazwy. Nie wszystkich jednak. GETHOVERWALTUNG — Zarząd Getta. Stanowił on jeden z wydziałów Zarządu Miejskiego w Łodzi — Stadtverwaltung Litzmannstadt.

HANS BIEBOW — stał na czele Zarządu Getta. Był kupcem z Bremy. Po wojnie przekazany Polsce, m osadzony i skazany.

MORDECHAJ CHAIM RUMKOWSKI — przełożony Starszeństwa Żydów — Der Alteste der Juden in Litzmannstadt Getto od 13 listopada 1939 roku.



ANTONI
DUBIEC

W kręgu ciszy

w kręgu ciszy biegnie i rozszepia się światło
rysuje tęcze
wołanie doskonałości
zielenie liść
kwiat nabiera woni
początek embriion człowiecze
szare komórki wystukują wers
na chwilę przetrwania
odejść w ciszę
wystąpić w nieskończoność
zostawiając krzyk czasu
lęk i strach

lipiec 1989

Półka z książkami

RAJ

W serii „Kolekcja literatury kubańskiej” ukazał się „Raj” Jose Lezama Lima. Lektura to niełatwa, jak niełatwa jest klasyfikacja gatunkowa tego dzieła. Bo czymże jest „Raj”? Prozą, poezją, rozprawą filozoficzną, zrecenzją publicystyczną? Myślę, że wszystkim po trochu. Lektura jej wymaga znacznego wysiłku ale i uczestnictwa czytającego w tym, co niesie ze sobą ten potężny, wszytkoogarniający nurt.

Przekład Andrzeja Nowaka.

Jose Lezama Lima: Raj. WL 1989. Str. 500. Cena 950 zł.

„NIEWPORY” JULIO CORTAZARA

Oto osiem opowiadań Julio Cortazara, którego „Gra w klasy” zrobiła przed paru laty światową karierę. Sam autor już nie żyje, a prezentowany tu zbiór krótkich form prozatorskich przypomni czytelnikom tego wielkiego Argentczyka. Zresztą twórczość Cortazara nigdy nie przystawała do określenia „klasyczna”: nie przystawała ze względu na swoją różnorodność, dowcip, żart, absurd, a często ironię. Tak też są napisane i te opowiadania z tomu „Niewpory”.

Przekład Zofii Chałżyńskiej.

Julio Cortazar: Niewpory. WL 1989. Str. 136. Cena 670 zł.

BUDOWNICZY GDYNI

Ukazała się książka-album poświęcona życiu i dziełu Eugeniusza Kwiatkowskiego, człowieka który swą pasją bezprzykrytym dążeniem do gospodarczego rozkwitu Polski, wszedł na karty najnowszej historii naszego kraju. Powszechnie wie się, że inżynier Eugeniusz Kwiatkowski był współorganizatorem rozbudowy portu gdyńskiego i naszej floty, natomiast mało są znane fakty z jego działalności na rzecz Centralnego Okręgu Przemysłowego, z jego udziału w akcji plebiscytowej na Śląsku, z jego działalności powojennej. A o tym traktuje omawiana tu książka, uzupełniona licznymi ilustracjami.

Marian Marek Drozdowski: Eugeniusz Kwiatkowski. Człowiek i dzieło. WL 1989. Str. 278. Cena 1700 zł.

E. I.

Wrażliwość estetyczną zdobywa się — niezależnie od tego, co wynosimy z domu — poprzez kontakt ze sztuką. Im jest on częstszy, im wcześniej następuje, tym owocniejsze są jego skutki w życiu osobistym i społecznym człowieka. Temu właśnie celowi służy prowadzona na szeroką skalę edukacja plastyczna dzieci i młodzieży usankcjonowana uchwałą Rady Narodowej Miasta Łodzi z 1986 r. Opracowany na tej podstawie program obejmuje upowszechnienie wśród dzieci i młodzieży naszego

VIII, organizowanych w kwietniu lub maju.

Do ciekawszych form edukacyjnych należałoby zaliczyć także organizowane wystawy obrazów złożone z oryginałów (10 ekspozycji w r.ub.) oraz tzw. oświatowe — z reprodukcji, prezentowane w szkołach i klubach. Dużym zainteresowaniem cieszą się również comiesięczne przeglądy filmów o sztuce, jakie odbywają się w muzeum, poprzedzane prelekcją bądź komentarzem, ko-

lement edukacji muzycznej), podjęto jeszcze inną niezwykle interesującą inicjatywę a mianowicie organizowania praktyk uczniowskich dla młodzieży I i II kl. z II Liceum Ogólnokształcącego w mieście. Są to praktyki półroczne (od stycznia do czerwca) w wymiarze 42 godzin dla jednej klasy — praktyczne i teoretyczne z zakresu muzealnictwa i edukacji kulturalnej. W Zgierzach zaś zajęcia prowadzone są w formie lekcji i odczytów.

Łódzki program edukacji kultu-

Blżej sztuki

województwa czterech dziedzin kultury — teatralnej, muzycznej, plastycznej i filmowej.

Pragniemy przedstawić dziś to, co robi się w zakresie edukacji plastycznej w oparciu o prace muzeów i Biura Wystaw Artystycznych, a co stanowi uzupełnienie i niejako rozwinięcie programu wychowania plastycznego w szkołach, wzbogacanie działalności pracowni i kół zainteresowań w Młodzieżowym Domu Kultury, Łódzkim Domu Kultury oraz w innych placówkach.

Programy edukacyjne z zakresu wychowania plastycznego posiadają wszystkie łódzkie muzea, a także Zgierz i Pabianice. Zakres i forma tych programów zależne są od charakteru zbiorów i zadań statutowych placówek muzealnych.

Najszerszą i najbardziej urozmaiconą działalność w tym zakresie prowadzi: Muzeum Sztuki oraz Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne. I to nie tylko dlatego, że dysponują wspaniałymi zbiorami, lecz i wysoko wykwalifikowaną kadrą pracowników merytorycznych. W Muzeum Sztuki np. pracownicy z Pracowni Dydaktyczno-Metodycznej Wiedzy o Sztuce, a także Działu Naukowo-Oświatowego — z pomocą Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Sztuki — prowadzą zajęcia z zakresu wychowania plastycznego, nauczania plastyki w szkołach podstawowych i średnich Łodzi oraz w klasach od V do VIII szkół podstawowych województwa. Oczywiście niezależnie od zajęć prowadzonych w gmachu muzeum podczas zwiedzania przez młodzież ekspozycji stałych bądź czasowych.

Skalę tego przedsięwzięcia może nam uocznici 1558 lekcji, jakie przeprowadzili w r.ub. pracownicy muzeum dla 16.324 dzieci i młodzieży. Nie licząc zajęć z historii sztuki — w formie odczytów i wykładów — jakimi objęto młodzież przygotowującą się do Ogólnopolskiej Olimpiady Artystycznej (471 odczytów wygłoszonych dla 15.628 osób).

Do tradycji popularyzatorskich weszły tu już liczne konkursy i turnieje wiedzy o sztuce. Co dwa lata organizowane są: dla dzieci i młodzieży ze szkół podstawowych i ponadpodstawowych konkursy plastyczne pn. „Moja przystępna w Muzeum”, zaś dla młodzieży licealnej — konkurs pn. „Najciekawszy eksponat w Muzeum”, którego najlepsze prace biorą udział w ogólnopolskim konkursie Muzeum Narodowego w Poznaniu, nie mówiąc już o systematycznych Międzyszkolnych Turniejach Wiedzy o Sztuce dla klas

czące się zwykle ciekawą dyskusją. Takich seansów odbyło się w r.ub. 101 z udziałem 3.280 osób. Wypada podkreślić, że wszystkie zajęcia prowadzone są na wysokim poziomie profesjonalnym.

Podobnie ma się rzecz w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym. Tutaj także działalność edukacyjna ma bardzo szeroki zakres, obejmuje historię, wychowanie plastyczne, geografie, język polski, a zajęcia prowadzone są w kołach zainteresowań i pracowniach konserwatorskich. (Np. lekcji z wychowania plastycznego przeprowadzono tu w r.ub. 23).

Tematyka kultury i sztuki uwzględniana jest również w licznych seansach filmowych organizowanych przez muzeum zarówno jako uzupełnienie prezentowanych ekspozycji bądź też w formie tradycyjnego już tzw. kina niedzielnego, w ramach którego prezentowane są cykle: „Muzealnictwo i kolekcjonerstwo”, „Najciekawsze zabytki architektury polskiej”, „Sztuka starożytna” itd.

Ilustracją tej formy zajęć niech będzie organizowany w r.ub. — wspólnie z Towarzystwem Polsko-Japońskim — przegląd filmów pozyskanych z ambasady tego kraju, dotyczący tradycji teatru japońskiego, malarstwa, „Origami”, czy też „Muzyki Kitaron”. Tutaj także organizowane są konkursy plastyczne, jednakże związane są one na ogół z obrzędami ludowymi.

Inną niejako formą edukacyjną przyjęło Centralne Muzeum Włókiennictwa, które także prowadzi urozmaiconą działalność, lecz z orientacją zawodowej dla klas VI, historii, wychowania obywatelskiego, technicznego, nauczania początkowego i wychowania plastycznego. Lekcje wychowania plastycznego np. prowadzone są na wystawach tkanin współczesnej i zabytkowej, a większość zajęć wspomniaganą jest projekcjami filmowymi obrazów traktujących o sztuce.

W przypadku Centralnego Muzeum Włókiennictwa godną najwyższej pochwały jest inicjatywa organizowania konferencji dla nauczycieli wychowania plastycznego pod hasłem: „Wykorzystanie ekspozycji współczesnej tkaniny artystycznej dla celów dydaktycznych”. W samym tylko roku ubiegłym zorganizowano tu 5 takich konferencji.

Jak wspomnieliśmy edukację kulturalną dzieci i młodzieży prowadzą również muzea w Pabianicach i w Zgierzach. Pabianickie Muzeum Miasta, oprócz lekcji prowadzonych na wystawach plastycznych i koncertów stanowiących e-

lekcji dzieci i młodzieży, jaki od 1986 roku realizują placówki muzealne uzupełniają jeszcze dwie instytucje — Biuro Wystaw Artystycznych i Polskie Stowarzyszenie Edukacji Plastycznej oddział w Łodzi. W ostatnich kilku latach BWA niezwykle aktywnie włączyło się w program edukacji plastycznej, szczególnie gdy idzie o organizację cyklicznych konferencji z nauczycielami prowadzącymi zajęcia plastyczne w szkołach podstawowych i średnich. Do programu Biura Wystaw włączone zostały także stałe turnieje i konkursy wiedzy o sztuce, nie mówiąc już o sprawowaniu merytorycznej opieki nad Młodzieżowym Kołem Przyjaciół BWA.

Działające od trzech lat na terenie Łodzi Polskie Stowarzyszenie Edukacji Plastycznej organizuje swoim członkom możliwości aktywnego uczestnictwa, czyli uprawiania twórczości plastycznej. Szczególnie interesujące i pozytywne wydają się być lekcje w pracowniach znanych łódzkich artystów plastyków. Wypada na koniec podkreślić, że Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta finansuje jedynie działalność edukacyjną Muzeum Sztuki i Biura Wystaw Artystycznych. Pozostałe instytucje swoją działalność popularyzatorską uprawiają w oparciu o środki przeznaczone na zadania statutowe. Przykładem niech tu będzie Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego, które posiada bogaty program edukacyjny z zakresu historii, upowszechniania tradycji ruchu robotniczego, walki i martyrologii, a bogata, staranna i atrakcyjna aranżacja plastyczna każdej z wystaw jest jednym ze składników kształtowania wrażliwości estetycznej młodych odbiorców.

I jeszcze jedna, dość istotna, jak się wydaje, kwestia. Jakkolwiek każda z zaangażowanych w edukację plastyczną instytucji posiada ciekawą, merytorycznie bardzo starannie opracowany program to jednak ten wielki wysiłek fachowców zdaje się być zbyt rozproszony. W poszczególnych programach brakuje mi współdziałania w tym zakresie poszczególnych placówek ze sobą — np. Muzeum Sztuki z Centralnym Muzeum Włókiennictwa bądź Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym i na odwrót. Słowem — brakuje czynnika koordynującego program edukacji plastycznej dzieci i młodzieży w skali całego województwa.

MARIAN ZDROJEWSKI

Pestki dyni

W tym felietonie wiersze mego ojca, Karola Gruna napisane w czasie Powstania w Warszawie. Wielu ludzi, którzy przedtem nie robili tego wcale, albo robili niezbyt często — pisało wiersze, bowiem zwykłymi słowami nie sposób było wyrazić tamtych zdarzeń, przeżyć i uczuć.

Z czeluści ulic, poprzez barykad zapory
Z dzikim chrzęstem gasienic wypęzły potwory.
Wśród dymu czarnych kłębow i blasku pożogi,
Suną tępe i mściwe jak germańskie bogi.

Idą czołgi, drży ziemia i mury się wala,
Stukasy nadlatują swą morderczą falą,
Dziewiętnasta pancerna dywizja Källnera
W chmurze ognia i grzmotów suchwale naciera.

Zuchwale, bo nieszczęsne dzieci i kobiety,
Przywiązano do czołgów. Coś krzyczy,

Grzmot wybuchów usłyszeć nie pozwala

Tej ludzkiej żywej tarczy germańskich

Jakiej trzeba podłocić, wyrzucić z sumienia,
Nikczemnego tchórzostwa, zbrodni,

Aby podjąć ten zamysł godny Germanina?
Z gruzów wyszła do akcji powstańcza drużyna.

Idą pomsta, przejęci, przemożna, jedyna,
Niosą wiązki granatów, butelki z benzyna...
Aż Bóg oczy przesłonił chmur czarnych

Gdy ją wreszcie wiatr rozwiął, czołg

SWIERSZCZ

Na punkcie obserwacyjnym,
Na piątym piętrze, pod dachem,
W sierpniową noc pełną grozy
W przysłowiach patrzyłem ze strachem.

W upornej poświacie nocy
Ziejącej armat błyskami
Moździerze burzyły domy,
Kaemy były seriami.

Miasto płonęło dokoła
W ponurej grozie zniszczenia
Wszystko, co pocisk oszczędził
Padło pastwą płomienia.

W wiązaniach belek, na strychu,
Schowany w zacinżną wnękę,
Przemysłnie tracę swe skrzydełka
Swierszcz grał swierszczową piosenkę.

Nic mu, że miasto w ruinie,
Ze ogniem wokoło wciąż rośnie —
On śpiewał o swoich sprawach,
Śpiewał spokojnie, radośnie.

Czar na mnie rzucił tym graniem,
Dziką tęsknotę obudził,
Za życiem dawnym, zwyczajnym,
Wśród bliskich, życzliwych ludzi.

Michał Anioł pisał, że „wiersz jest nad
czas i nad śmierć”. Może też być pamiątką
po dniach płonnych nadziei i rozpaczy. Po
dniach, kiedy modlono się takimi słowami:

Nie daj nam Panie zwątpić w tej grozy

By ostatnim ust słowem nie było

Daj nam wiarę, że trud nasz daremnie

Ze walka tu podjęta oznacza zwycięstwo.

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata



Rys. Dariusz Pietrzak



POMNIK OFIAR STALINIZMU

„Urodzony w Świerdłowsku, krępkiej uralskiej rasy, stworzony jakby do przewycięzania oporu materii, czy by to był granit czy ludzka małoduszność, poręcznik rezerwy, odznaczony orderami... Rzeźbiarz — nowator, który niegdyś rzucił wyzwanie bezdusznej oficjalnej sztuce.

Trzynastę lat temu, w roku 1976, wyjechał na Zachód. Profesor uniwersytetu, mistrz, którego prace wystawiane są w Ameryce i w Watykanie, pod Sztokholmem istnieje nawet muzeum jego imienia zapełnione jego rzeźbami, reżyser teatralny, działacz społeczny, wiecznie zbuntowany, pełen pomysłów nonkonformista. Taki jest Ernst Niezłowny — pisze „Prawda”. Przyjechał do Moskwy wraz z najwybitniejszymi politykami, dyplomatami i ekonomistami, ja-

ko uczestnik radziecko-amerykańskiego spotkania na temat „Rozumienia wartości zachodniej cywilizacji”. „W czasie pobytu w Moskwie Niezłowny przedstawił własną koncepcję pomnika ofiar stalinizmu. » Powinien to być niewielki kurhan, przypominający z lotu ptaka czy z góry maskę twarzy człowieka, gdzie zamiast oczu są Jeziora Łez, a na czole płonący znicz. Kurhan-maskę powinien z kolei składać się z niezliczonej ilości różnej wielkości masek... Zasada, sam pomysł estetyczny jest taki, by również z oczu tych poszczególnych masek ciekła woda, symbol wiecznego smutku i przemijania życia, a na czole był wieczny płomień, w którym spala się wszystko, co żywe. W małych maskach zamiast gazu mogą płonąć znicze, zapalone przez pozostałych przy życiu, przez dzieci tych, co zginęli, i przez każdego człowieka... »

Jeszcze w 1976 r., dopiero co znalazłszy się na Zachodzie, Niezłowny oznajmił, że chce stworzyć pomnik ofiar stalinizmu. Poparł go wtedy między innymi Arthur Miller i inni wybitni przedstawiciele świata kultury. Postanowiono początkowo, że pomnik ma stanąć w Waszyngtonie. Rozpoczęto zbieranie pieniędzy, zachodnioludzi wydawca, Alex Springer, zadeklarował sędem milionów dolarów. Wte-

dy zwrócono się do Aleksandra Sołżenitsyna. Sołżenitsyn słusznie zauważył, że byłoby dziwne budować ten pomnik w Waszyngtonie i za pieniądze zachodnioludzi wydawcy... Wówczas idea ta się nie przyjęła, stała się przedmiotem rozgrywek politycznych... Ale pomysł i chęć pozostały... »

Decyzję o budowie takiego pomnika z inicjatywą społecznej podtrzymała XIX. konferencja partynia KPZR.

GDY CHRYSTUS MÓWI PO ANGIELSKU

„Kinematografia europejska wkracza w nową erę — pisze w „La Stampa” Vincent Canby — erę rozpaczliwej samoobrony języków narodowych. Przykład? „Francesco” — ostatni film Lilliana Cavani o życiu św. Franciszka z Asyżu... Choć „Francesco” nakręcono we Włoszech i choć jest to film włoski... film nakręcono po angielsku... „Francesco” podobnie jak coraz większa liczba filmów europejskich, sprawia wrażenie filmu nakręconego nie w jakimś określonym kraju, lecz jakby na księżycu... Było to widoczne jak na dłoni podczas ostatniego festiwalu w Cannes... wśród filmów konkursowych znalazła się

niezręcznie zuniformizowana anglojęzyczna adaptacja powieści Turgieniewa w reżyserii Jerzego Skolimowskiego... Reżyser francuski Claude Chabrol kręcił swój nowy film po angielsku, podobnie jak cenieni filmowcy włoscy Francesco Rosi i bracia Taviani. Krazy też plotka, że nawet Federico Fellini zamierza kręcić swój najbliższy film w wersji angielskiej... »

„Vincent Canby wygłasza bardzo podejrzaną teorię o ochronie rynku amerykańskiego, o ograniczonym zasięgu filmu europejskiego — odpowiada w tej samej gazecie Lilliana Cavani. — Ale czy reżyserzy amerykańscy nie kazali mówić po angielsku Chrystusowi, Cezarowi, Spartakusowi, Kleopatrze? Czy Szekspir nie kazał mówić po angielsku Romeo i Julii czy kupcowi z Wenecji? A w jakim języku czytają Amerykanie Biblię — może w starohebrajskim? I czy Canby’ego to nie martwi, że do nas, Włochów, kochane kino amerykańskie zawsze mówiło po włosku?... Oczywiście można by postawić, że każdy winien wyrażać się tylko we własnym języku. Ale wtedy trzeba by było zrezygnować w ogóle z dubbingu, uciekając się do skrótych z konieczności dialogów. Należałoby też może wtedy zrezygnować z tłumaczenia dzieł literackich... »

Do tradycyjnych, letnich inicjatyw Stowarzyszenia Polskiej Młodzieży Muzycznej należą szkoleniowe obozy muzyczne. Są one wypróbowaną formą edukacji, charakteryzującą się połączeniem intensywnych zajęć artystycznych z ciekawie zaplanowanym wypoczynkiem, a także dość skutecznym oddziaływaniem na zewnątrz poprzez akcję koncertową.

W tym roku jeden z takich obozów odbył się między 17 a 28 sierpnia w Białejewku — malowniczo położonym nad Jeziorem Białym, niedaleko Poznania, ośrodku rekreacyjnym PGR. Kierowane organizacyjnie przez wiceprzewodniczącego SPMM, łódzianina Jerzego Goryszewskiego, warsztaty obejmowały dwie grupy robocze. Pierwszą tworzyli młodzi muzycy doskonalący swe umiejętności w grze na instrumentach dętych drewnianych, drugą animatorki, czyli adeptyki wychowania muzycznego specjalizujące się, w tym wypadku, przede wszystkim w muzykalnym dzieci.

Wykładowcami na kursie instrumentalnym byli znani wirtuosi: flecista Elżbieta Dastyk, klarncista Ludwik Kurkiewicz i osiadły w Polsce saksofonista amerykański David Pituch. Pod ich kierunkiem rekrutujący się z ostatnich



„POLSKI GREK...”

Nikos Chadzinikolau ROZMOWA Z PISARZEM

— Niko, jesteś dla mnie podwójnym ambasaderem: literatury polskiej w Grecji i literatury greckiej w Polsce. Nie sprawia ci żadnej trudności tłumaczenie — z polskiego na grecki i z greckiego na polski. Mieszkaś w Poznaniu, kiedyś związany był z Szczecinem. Znowu pełnisz funkcję prezesa poznańskiego oddziału ZLP...

— Chwileczkę, wszystko to prawda, ale z tym ambasaderem lekko przesadziłeś. Fakt, że posiadam dwie ojczyzny — Polskę oraz Grecję i obu spłacam dług wdzięczności. W Grecji się urodziłem, tam spędziłem dzieciństwo, w Polsce dojrzewałem, przeżyłem w niej wielkie miłości, tu też mam największe osiągnięcia literackie.

— Skomplikowane były drogi twojego życia...

— Nie tylko moje. Grecka wojna domowa wycisnęła piętno na wielu moich rówieśnikach, jak również i na ludziach znacznie starszych, którzy w pewnym okresie, należącym już dziś do historii, musieli opuścić swoją ojczyznę. Ja z dwójką braci w okropnych warunkach przedarliśmy się do Jugosławii. W Bitoli zamieszkałem w egiptowskiej klasztorze. Warunki były więcej niż złe. We znaki dawał się głód. Aby w jakiś sposób mi się przeciwstawić, zbierałem ślimaki, łowiłem ryby, a czasem i kradłem jedzenie z grobów.

— Jedzenie? — Byłeś przecież w Jugosławii. Głód wyzwał różne instynkty. A jak wiesz na południu Jugosławii, zresztą nie tylko tam, ludzie odwiedzając zmarłych błiesiadzą przy nagrobkach, jakby dzieląc się potrawami ze swymi bliskimi, którzy odeszli z tego świata. Oczywiście pracowałem też w zakładach skórzanych, wyrabiałem pasy, pantofle, galanterię, a po południu uczęszczałem do szkoły.

— A jak z Jugosławii trafiłeś do Polski?

— Życiem często rządzi najwskazy przygrydek. Byłem raz w Niszu — to takie miasto na południu Jugosławii — i tam poznałem późniejszego laureata Nagrody Nobla, Ivo Andrića, pisarza o wielkiej klasie. On studiował w Krakowie, miał do niego wielki sentyment i bardzo radził mi zobaczyć Polskę. „To ciekawy kraj — mówił — a jego historia bardzo przypomina historię Grecji.” Muszę ci wyznać, że Andrić tak entuzjastycznie opowiadał o twoim kraju, że po prostu musiałem go zobaczyć. Moja determinacja, sięgnęła zresztą szczytu: rozstałem się z braci, którzy trafili do Czechosłowacji, a ja ze sporą grupą rówieśników wyjechałem pod Wałbrzych. Zamieszkałszy w domu „Pionier” położonym w parku zdrojowym Szczawnia-Zdroju, tam też zorganizowano dla nas szkołę, uczono nas polskiego języka. Miałem wówczas piętnaście lat i nawet nie przypuszczałem, że tkwiąc w mnie takie zdolności lingwistyczne, szybko nie inni robiłem postępy w nauce. Zwrócono na mnie uwagę: kierownictwo szkoły uznało, że powinienem zostać... nauczycielem. Wystano mi na kurs. Wrócić mieli mnie tam dosyć, bo bez przerwy o wszystko pytałem. Nie bez kozery, bo wpadłem na pomysł, by opracować słownik polsko-grecki. W owych czasach stanoł on prawdziwy rarytas, choć, oczywiście, była to robota nastolatka. Później trafiłem do Prace

Odrzańskich, gdzie uczęszczałem do technikum ekonomicznego, ale czułem, że to robota nie dla mnie, miałem inne zainteresowania, chociaż trudno by mi było je ukończyć. Ostatecznie trafiłem na Ziemię Szczecińską, do Polle, gdzie, jak wiesz, było duże skupisko greckich emigrantów. Tam też zapisałem się do liceum. Jednocześnie trzy razy w tygodniu przyjeżdżałem do Szczecina, gdzie do kształcałem się w szkole muzycznej.

— Wtedy jednak muzyka, a nie tokarka była twoim przeznaczeniem?

— No, nie tylko... Niemniej występowałem wówczas w chórze greckim i w zespole wokalnym. W 1955 r. daliśmy recital na warszawskim Festiwalu Młodzieży i Studentów. Sam komponowałem i pisałem wiersze. Tu, bo to teraz na czasie, zmiję jeszcze jedną „białą plamę”: występowałem jako chor grecki, ale nikt nie informował, że na stałe mieszkamy w Polsce.

— A te wiersze, o których wspominasz, w jakim były języku?

— Zaczynałem je pisać po grecku, a później po polsku i po grecku. Ale to już były lata siedemdziesiąte, kiedy rozpocząłem studia na polonistykę w Uniwersytecie Poznańskim.

— Grek studiujący polonistykę... To chyba przypadek raczej odosobniony?

— Zapewne. Ale pokochałem język Słowackiego i Norwida, wielką poezję tych właśnie twórców. Uwielbiam ich za ponadczasowość, za głębię ich myśli.

— Twój pierwszy debiut literacki ukazał się w języku...

— Greckim. Wydrukowałem wiersz w ukazującym się we Wrocławiu piśmie „Demokratia”. To był rok 1956. Moje pierwsze utwory w języku polskim ukazały się niemal jednocześnie na łamach „Tygodnika Zachodniego” i „Pomorza” w styczniu 1958 roku.

— Trzydzieści jeden lat minęło od tego debiutu. A będąc już w Polsce czy utrzymywałeś kontakt z rodziną?

— Rozpierzchnięta się ona po świecie. Ojciec z matką znaleźli się aż w Taszkencie...

— Strasznie popłatanie losy?!

— Tak. Tam też ścigali oni moich braci, przebywających w Czechosłowacji. Mnie też chcieli zabrać, ale nie chciałem tracić studiów. W 1963 roku ojciec zmarł, właśnie w Taszkencie, a siedem lat później matka z synami mogła już na stałe wrócić do Grecji.

— Zamknęła się więc kara wojny domowej i jej skutków...

— Tak, ale trwało to bardzo długo. Zmiany polityczne w Grecji umożliwiły mi mój przyjazd do rodzinnego kraju. W Tryfilii pod Salonikami, mojej rodzinnej miejscinie, witano mnie z obywatelską serdecznością. Byli nawet dwójni! Dosłownie nie chciało mnie stamtąd wypuścić i wyjechałem niemal konspiracyjnie. A na mnie czekała w Polsce wielka uroczystość: w 1975 roku w poznańskim ratuszu wręczono mi akt nadania obywatelstwa polskiego. Cztery lata później przywrócono mi obywatelstwo greckie. Mam więc obecnie obywatelstwo podwójne, a do roku 1975 byłem bezpaństwowcem.

— Wydałeś kilkanaście tomików wierszy, dwie powieści, cztery antologie poezji greckiej i greckich nowel, a także wielką księgę: „Literatura nowogrecka”. Po pol-



Foto: Przemysław Ostrzyżek

sku, ale wyjdzie ona również w Grecji.

— Ta książka spłaciłm dług, choć może bardziej Grecji niż Polsce. Podobno jest ona potrzebna nie tylko profesjonalistom.

— W Grecji, oczywiście, znają twoje wiersze?

— Ukazał się ich wybór pod tytułem: „Dyskobol w Polsce”. Zbiór miał sporo recenzji. A w tomie „Od Staffa do Stachury” staram się greckim czytelnikom pokazać twórczość polskich poetów. Nie po to, aby się chwalić, ale dodam, że przełożyłem na język polski „Greka Zorbe” Kazantzakisa i „De profundis” Myrivilisa, no i tłumaczę, odkrywając na nowo, Saffonę, przyswajając kiedyś Polakom za pośrednictwem języka angielskiego.

— Czas przejść do spraw bardziej osobistych...

— Mam drugą żonę, pierwszą zmarła, pozostawiając bliźniaki: Ariadnę i Stelli. Ariadna mieszka w Atenach, zaś Stelli ukończyła medycynę i pracuje w Gnieźnie. Z drugiego małżeństwa mam syna, Aresa, który uczęszcza do szkoły muzycznej, no i pisuje wiersze.

— Często odwiedzasz kraj ojczyzny?

— Co roku. Moja matka i bracia mieszkają w Salonikach. Jestem w Grecji i, wyobraź sobie, tęsknię za Polską. Nawet przyjechałem się do polskich chłódów. Polacy i są cudowni, a w swej spontaniczności przypominają nieco Greków. Mój kuzyn, Vasilis, noszący to samo co ja nazwisko, prowadzi w Delfach hotel. Zakochany jest w Polakach, często nie bierze od nich pieniędzy za nocleg.

— Podaj adres!

— Kto zechce, to go znajdzie. Nasza rodzina wywodzi się z Delf, pewne reminiscencje możesz znaleźć w mej powieści „Niebieskoek Greczynka”.

— Nigdy nie żałujesz, że osiedliłeś się właśnie w Polsce?

— Różnie mogłoby ułożyć się moje życie, ale że ułożyło się właśnie tak, zadecydowało spotkanie z Andrićem. Dobrze, że do niego doszło. Polska to teraz mój dom rodzinny, a Grecja — dom od święta. Moje żony, Polki, urodziły mi wspaniałe dzieci. W Polsce znalazłem uznanie, przyjaźń. Moja druga ojczyzna jest ojczyzną z wyboru. Nigdy się na niej nie zawiodłem!

Rozmawiał:
M. A. JAWORSKI



Kronika

SPOŁECZEŃSTWO ŁÓDZI uroczystość 50. rocznicę wybuchu II wojny światowej. Z tej okazji 31 sierpnia br. odbyła się wspólna sesja Rady Narodowej m. Łodzi i Rady Łódzkiej PRON. W Muzeum historii Miasta Łodzi — tego samego dnia — odbyło się spotkanie władz administracyjno-politycznych naszego miasta z weteranami II wojny światowej. Na Radogoszczu, 1 września br., odbył się uroczysty apel poległych oraz pokojowa manifestacja. Przy ul. Północnej 36 nastąpiło uroczyste wmurowanie aktu erekcyjnego pod pomnik Chwały Żołnierzy Armii „Łódź”. W hołdzie poległym żołnierzom Września 1939 r. — w kościele garnizonowym przy pl. Wolności odsłonięta została tablica pamiątkowa. Na placu katedralnym 3 bm znowu stanął ocalały z wojennej pożogi pomnik ks. Stanisława Skorupki (przeniesiony z bocznej nawy katedry). Po poświęceniu go, odprawiona została uroczysta msza święta, poświęcona poległym poczas II wojny światowej. W Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego (ul. Gdańska 13) 6 bm. otwarta zostanie wystawa pn. „Walki obronne Armii „Łódź” z oddziałem tego muzeum w Radogoszczu czynne będą ekspozycje: „Pamiętki Września 1939 r.” oraz „Dalsze losy więźniów Radogoszcza”. Dla upamiętnienia rocznicy Komendy Chorągwi Łódzkiej ZHP przygotowuje wystawę dokumentów i fotografii pn. „Harcerstwo łódzkie we wrześniu 1939 r.” (otwarcie 18 bm. w gmachu Komendy Chorągwi Łódzkiej).

NA SVOJE CZTERDZIESTOLECIE — Teatr Nowy w Łodzi przygotowuje „Kordiana” Juliusza Słowackiego, w reżyserii Jerzego Hutka. W planach repertuarowych m.in. bardzo ciekawie się zapowiadająca sztuka czesochosłowieckiego dramaturga — Václava Havela „Kuszenie”.

WICEPREZYDENT ŁÓDZI, LECH KROWIRANDA, przyjął 30 VIII br. Józefa Janusza i Macieja Walickiego — przedstawicieli Komisji ds. reaktywowania Stronnictwa Pracy w regionie łódzkim.

Poinformowali go oni o najbliższych zamierzeniach, wznowiającego działalność SP.

NOWE KOLA Oddziału Łódzkiego Związku Sl-biraków powstawa w Śródmieściu, na Bałutach oraz w Fabianicach.

XXII MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MAGH WSPÓŁCZESNEJ odbył się w Karłowicach Warach. Wzięło w nim udział 700 iluzjonistów z całego świata. Główną nagrodę w konkursie — zorganizowanym z tej okazji — zdobyli iluzjoniści ze Związku Radzieckiego.

Z BADAN SOCJOLOGICZNYCH przeprowadzonych w 1987 r. w środowisku robotniczym wynika, iż 45 proc. respondentów nigdy nie było w kinie, w teatrze — 80 proc. na koncertach — 67 proc., wystawach plastycznych — 90 proc. Te liczby — w dobrej komercjalizacji — powinny być sygnałem alarmowym.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO ukazała się książka Albina Głowackiego pt. „Przemieszczenie obywateli polskich w Związku Radzieckim w 1944 roku”.

GWIAZDA ROCKA — Madonna — złożyła... ślub czystości. Wyznała dziennikarzom, iż najbardziej jej boi się zachorowania na AIDS i spędzenia reszty życia w szpitalu. Zobaczymy na jak długo starczy jej wytrwałości.

OD KILKU MIESIĘCY czynne jest w Kolonii pierwsze w Europie prywatne Muzeum Beatlesów. Założył je Rainer Moers, z zawodu kupiec, który od 25 lat zbiera pamiątki po idolałach jazzu. Wśród 5000 zgromadzonych przez niego pamiątek znajduje się m.in. oryginalna „relikwia”, w postaci kawałka deski ze sceny hamburskiego „Start-clubu”, gdzie młodziutcy muzycy z Liverpoolu zaczęli swą karierę.

MIMO TRUDNOŚCI DEWIZOWYCH dojdzie jednak do skutku, co bardzo nas cieszy, XXXII Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień” (15—24) bm.). Na inauguracyjnym koncercie festiwalu orkiestra Filharmonii Narodowej pod batutą Tadeusza Strugały wykona „Cosmos I” Stefana Kisielewskiego (utwór skomponowany w 1970 r.).

W NIECIEŁA GODZINIE rozeszło się w jednej z francuskich księgarni ponad 1000 egz. „Sztajńskich wersetów” Salmiana Ruschiego. Ukazały się one w przekładzie na francuski w oficynie Christian Bourgois. Imam Chomeini z pewnością przewraca się w grobie.

Opracował: JAK

Z kroniki powojennej Łodzi

LUTY 1945
Ukazanie się 1 II 1945 r. zlewnika „Głos Łudu”, wychodzącego w Łodzi do 19 VI 1945 r.
Wzniesienie, 13 II 1945 r. centralnego organu PPS — „Robotnika” (rocznik 55, z przerwa okupacyjną). Ukazuje się w Łodzi do 15 XII 1945 r.
Utworzenie, 13 II 1945 r., Oddziału Łódzkiego Związku Zawodowego (sic!) Literatów Polskich. W skład jego zarządu weszli: Zofia Nalkowska (prezes) Jan Brzechwa (wiceprezes) Ryszard Matusewski (sekretarz) W lipcu 1945 r. Oddział Łódzki liczył 45 członków rzeczywistych. Organizował raz w tygodniu publiczne wieczory literackie. Udział w nich wzięli m.in. Jan Brzechwa, Zofia Nalkowska, Julian Przybós, Adolf Rudnicki, Artur Sandauer Jan Kott.
Przeniesienie z Lublina do Łodzi, 16 II 1945 r., tygodnika „Zielony Sztandar” — organu NKW ZSL.
Wzniesienie, 17 II 1945 r., działalności Miejskiej Pracowni Psychologicznej.
Przeniesienie, 22 II 1945 r. do naszego miasta z Lublina, wychodzącej od 13 I 1945 r. „Polski Zbroj-niel” — organu Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego.
W lutym 1945 r. rozpoczyna działalność Centralny Robotniczy Dom Kultury.

Opracował: JAK

Wakacje z muzyką

lat studiów w akademiach muzycznych podopieczni przygotowali kilka wieczorów kameralnych, zawierających wykonania rzadko odzwierciedlanych w naszych salach koncertowych duetów, triów i innych tego rodzaju kompozycji na instrumenty dęte drewniane. Szkoda, że przed jednym z koncertów miejscowa urzędniczka po prostu odprawiła sprzed drzwi grupę dzieci wraz z opiekunem argumentując, że „was to i tak by znudziło”. Przypuszczam, że o podobnym potraktowaniu odbiorców nigdy wcześniej nie słyszałem. Widać selekcyjnowanie publiczności jest specjalnością działaczy k.o. z Białejewka, bowiem komuś innemu, wybierającemu się na prelekcję, też zamknęto drzwi przed nosem.

Podobne zgryzoty należały, na szczęście, do rzadkości i ogólnie atmosfera była przyjemna. Szczególnie mocno zintegrowały się przybyłe z Krakowa i Łodzi animatorki, bardzo zaangażowane w swą działalność. Obserwowałem, jak wiele dawały z siebie na prowadzonych przez Barbarę Bernacką i Barbarę Ostrowską wcale niełatwych lekcjach z rytmiki, a potem w trakcie parateatralnych ćwiczeń z Elżbietą Armatus oraz tanecznych z Angeli Poter z RFN. Kolejne dni wypełnione zostały zajęciami z Urszula Smoczyńską, Bogusławem Schellerem, Wojciechem Wietrzyńskim, Thordem Gummesonem (Szwecja) i Reinhardem Ringiem (RFN). Opiekująca się sekcją animacji, Beata Podolska powiedziała mi: — „Uważam za nadzwyczaj cenne, że na obozie spotkali się i wymienili doświadczenia wybitni pedagodzy, także z zagranicy. Z tej konfrontacji, w której np. polska metoda w muzykalności poprzez ruchowe ćwiczenia rytmiczne wypadła nadzwyczaj interesująco, skorzystały słuchaczki. Jestem pewna, że zdobyte wiadomości w pełni wykorzystają w pracy. Nasze zgromadzenie będzie procentować”.

Niewątpliwym mankamentem omawianych warsztatów okazała się natomiast mniejsza niż zazwyczaj liczba szkółących się. Spowodowane to zostało nieco spóźnioną informacją o imprezie, rozesłaną do uczelni oraz krajowych i zagranicznych ośrodków „Jeunes Musicales” a także podwyższoną w ostatniej chwili opłatą za pobyt. W rezultacie np. animatorów przyjechało tylko kilkanaście, a z innych krajów w ogóle nie dotarli nikt, co biorąc pod uwagę historię obozów SPMM uznać trzeba za ewenement. Organizatorzy powinni baczyć, aby w przyszłości tak starannie przygotowane akcje były spożytkowane w 100 procentach.

JANUSZ JANYST

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

NAJMNIEJ WIEDZA ZAINTERESOWANI

Prawda to odwieczna, że najciemniej jest pod latarnią i najmniej wiedzą (albo najpóźniej dowiadują się) zainteresowani. Tak jest i w tym wypadku. W Łodzi ciska (nawet w środowisku ludzi zainteresowanych), a w... „Echu Krakowa”, wyłożono kawę na ławę!... „Ministerstwo podjęło wreszcie decyzję: Jan Prochyra będzie od nowego sezonu dyrektorem naczelnym i artystycznym T. im. Słowackiego w Krakowie. Opuszczone przez Prochyre stanowisko dyrektora T. Współczesnego we Wrocławiu obejmie... Bogdan Hussakowski, dotychczasowy dyrektor T. im. Jarczaka w Łodzi...”

Zwyczajna karuzela, jaka towarzyszy nowym sezonom teatralnym w Polsce, czy też kolejnym przykład, że co ciekawsze indywidualności opuszczają Łódź w poczuciu „niemożności”, „nie-spełnienia”, „nie...”, „nie...”?

NISZCZENIE ŻYCIA KSIĄŻKI

„Na naszych oczach odbywa się niszczenie życia książki życia literatury polskiej — mówi Jan Tomkowski, którego słowa przytacza „Tygodnik Kulturalny”. W gąszczu bezsensownych dyskusji

o samofinansowaniu kultury zapomina się, że sztuka i rynek zawsze rządziły się odmiennymi prawami. Zawsze też byli tacy, co książki kolekcjonowali i tacy, co je czytali. W niedalekiej przyszłości może zabraknąć i jednych, i drugich. Wszystko wskazuje na to, że z zakupu książek zrezygnują najpierw... państwo we bibliotek! Nigdy nie przeżywały one tak złej passy: podarte, zniszczone książki, brak funduszy i miejsca na gromadzenie nowych tytułów. Dramatyczna sytuacja bibliotek wiejskich, zakładowych, szkolnych, akademickich, no i w większości z nich świat jak z Orwella — próżno szukałibysmy tam książek zabronionych przez cenzurę.

Nigdy informacja o literaturze współczesnej nie była tak niepełna, nigdy radio czy telewizja nie poświęcały jej tak mało uwagi (programy nadawane obecnie nie budzą zaufania). Jest źle i wygląda na to, że może być gorzej. A jak uczy nas historia, każdej nowoczesnej i rozwiniętej cywilizacji towarzyszyła literatura.

KOLEJNY KROK

Porozumienie o współpracy podpisały wydawnictwa „Sowiet-

skij Chudożnik” i „Flammarion” oraz drukarnia „Krasnyj Proletarij” w Moskwie. Jego celem jest podniesienie poziomu szaty graficznej radzieckich wydawnictw poświęconych sztuce, dzięki wykorzystaniu doświadczeń i dorobku oficyny francuskiej w tej dziedzinie. Rocznie wydawanych będzie wspólnie ok. 10—12 pozycji. Pierwszą będzie album poświęcony długiem przemilczanej twórczości wybitnego malarza radzieckiego Pawła Filonowa.

BĘDZIE ODBUDOWANA

Nowa synagoga w Berlinie, jeden z najcenniejszych zabytków żydowskiej architektury sakralnej w Europie, będzie odbudowana. Wzniesiony w 1866 r. obiekt, poważnie uszkodzony w 1938 r. podczas pogromu, zburzony został całkowicie w 1943 r. w wyniku bombardowań alianckich.

Odbudowana synagoga nie będzie jednak służyć wyłącznie celom kulturowym. Działac będąc przy niej światowe Centrum Judaistyczne, zajmujące się studiami nad historią, kulturą i tradycjami narodu żydowskiego. W kosztach odbudowy synagogi partycypować będą przedstawiciele społeczności żydowskiej z całego świata.

Galeria pisarzy

LUDWIK ŚWIEŻAŁSKI



Rys. Stawomir Arabski

U podstaw każdej pracy wykonywanej na rzecz innych ludzi powinna znajdować się uczciwość. Są jednak zawody, od których wymaga się dodatkowo moralnej czystości. Są one niejako a priori usytuowane w najwyższych regionach szacunku społecznego, otoczone czcią i powszechnym poważaniem. Do takich zawodów należy zawód nauczyciela.

Dlatego sprawa sądowa przeciwko reprezentantom tej grupy zawodowej zawsze wywołuje nie tyle zwyczajną ciekawość, co zdumienie. Jakże to tak — nauczyciel w roli oskarżonego? Wychowawca, pedagog, moralny autorytet dla wielu nieraz pokoleń staje przed sądem, by publicznie przyznać się lub zaprzeczyć zarzutom, jakie w akcie oskarżenia przeciwko niemu postawił prokurator.

Rola oskarżonego nie przynosi zaszczytu. Nawet, jeśli w trakcie procesu sądowego, winę nie zostanie udowodniona i zapadnie wyrok uniewinniający, zawsze za takim człowiekiem wlecze się niedostrzegalny posmacek podejrzliwości. Bo skoro stał przed sądem, to coś tam musiało być, tylko adwokat tak zrećnię pokierował obroną, że faceta uniewinniono.

WIELUŃ: Nauczyciele przed sądem.

Matura za 40 jaj

EUGENIUSZ IWANICKI

Ten przydługi wstęp był niezbędny dla przedstawienia sprawy przeciwko pedagogom — małżeństwu zatrudnionemu w Zespole Szkół Zawodowych nr 2 w Wieluniu. Nieważne są w tym przypadku ich nazwiska, ważny jest czyn lub czyny, o które, na 14 stronach aktu oskarżenia, obwinia wyżej wymienionych prokurator z Prokuratury Rejonowej w Wieluniu Marzena Olechnowicz.

Proces przed Sądem Rejonowym w Wieluniu toczy się już od paru miesięcy. Prezes tego sądu Henryk Sabała przedstawił mi do wglądu 4 tomy akt, co samo już sugeruje, iż rzecz nie jest blaha. (Na marginesie trzeba koniecznie dodać, że budynek, w którym mieści się Sąd Rejonowy, sprawia przygnębiające wrażenie: stary, ciasny — dwaj ludzie z trudem mijają się w korytarzu — w czasie rozpraw ludzie muszą czekać na podwórzu. Nie ma tu wydziału — bardzo przecież ważnego — Rodzinnego i Dla Nieletnich, toteż interesanci są zmuszeni jeździć do Sieradza, a to ponad 50 km. Prezes jest jednak dobrej myśli: być może jeszcze w tym wieku będzie nowy gmach, już nawet widać zarys murów nad ziemią.)

W akcie oskarżenia przeciwko małżonkom — pedagogom czytamy, że pani nauczycielka w okresie od marca 1983 do grudnia 1988 przyjął od uczniów lub ich rodziców korzyści m.in. w postaci kawy, jajek, czekolady, wyrobów ze szkła i kryształu, bluzek, a także koryzstała z usług majątkowych i osobistych. Od części uczniów żądała świadczeń w zamian za wystawienie pozytywnych ocen końcowych z wykładanych przez

siebie przedmiotów. Natomiast mają od roku 1980 do grudnia 1988 przyjął korzyści materialne od uczniów lub ich rodziców: pieniądze, kawę, koniaki, benzynę, czekoladę, wymagał pracy w polu, ogrodzie, w domu, za co wystawiał uczniom pozytywne oceny końcowe z wykładanych przedmiotów lub dopuszczał do matury.

Jak z powyższego wynika, zarzuty są poważne, bo stawiają w niekorzystnym świetle sylwetki wieloletnich nauczycieli, ludzi znających swój fach, wychowawców wielu roczników młodzieży.

Akt oskarżenia jest bezlitosny w swojej lakonicznej wyliczance ujawnionych w toku śledztwa faktów świadczących przeciwko obwinionym. Oto pod koniec roku szkolnego 1983/1984 uczeń Waldemar S., aby nie otrzymać dwójki z historii wręczył pani nauczycielce wazon kryształowy za 1.410 zł. Będąc już w klasie drugiej, w czerwcu 1985, znów nie radził sobie z historią, więc przyniósł swojej pani (na jej żądanie) 40 jajek (w owym czasie 1 kg jajek kosztował 150 zł, a 40 jaj to 2 kilogramy). Wreszcie, kiedy jakiś ukończył ZSZ, 12 marca 1988 roku zgłosił się do Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w

Wieluniu i o całej sprawie opowiedział.

Wszczęło śledztwo. I nagle okazało się, że owo zeznanie WALDEMARA S. było przysłowiowym kamieniem, który pociągnął za sobą lawinę.

Uczniowie zaczęli mówić. Przesłuchano 214 świadków, z których 95 miało związek z wręczeniem różnego rodzaju przedmiotów małżonkom — nauczycielom. 50 uczniów zeznało, że oni sami osobiście lub ich rodzice ojad wręcali łapówki, bądź świadczyli usługi rzeczowe, jak prace w polu, w ogrodzie, w domu nauczycielki, a 30 osób powiedziało to samo w stosunku do męża pani pedagoga.

Metoda działania była prosta, a zarazem skuteczna: do pracy u siebie zawsze wyznaczali uczniów zagrożonych ocenami niedostatecznymi. Wykorzystywali także uczniów, którzy nie mieli złych ocen, ale ze strachu bali się odmówić, by nie pogorszyć swojej sytuacji w szkole.

Istniała zasada: o tym, że ta dwójka nauczycieli „bierze”, roczniki starsze z roku na rok przekazywały rocznikom młodszym. Doszło do tego, że nie trzeba było żądać prezentów, a wystarczało przeczytać listę uczniów zagrożonych, a ci już wiedzieli, że trzeba indywidualnie lub zbiorowo nabyć i przekazać tej dwójce nauczycieli prezent. Zdarzało się, że od zagrożonych stopniami niedostatecznymi uczniów wprost żądał jajek, kawy, czekolady, zegarków...

Bywało, że nauczycielka odczytywała listę uczniów zagrożonych ocenami niedostatecznymi z technologii (przedmiot wykładany przez jej męża) i sugerowała, by uczniowie udali się do niego z prośbą o dodatkowe przepytanie. Po otrzymaniu „prezentu” małżonkowie — nauczyciele organizowali dodatkowe kartkówki, których potem nie oddawali, podawali pytania do nauczania się na klasówkę lub do odpytania.

Uczniowie twierdzą, że mimo iż ich wiedza nie uległa poprawie, otrzymywali pozytywne oceny za te same wiadomości, za które wcześniej oceniono ich negatywnie.

Było i tak, że gdy przedmiot (np. historię) uczył inny nauczyciel, uczniowie mieli pozytywne oceny, gdy tylko zaczęli ci dwoje, natychmiast — przy tym samym nakładzie pracy — zaczęli otrzymywać dwójki.

Niektórzy uczniowie nie wytrzymywali tej presji i odchodzili ze szkoły. Tak postąpił np. Paweł M.

Były także przypadki, kiedy ze stałego opodatkowania usługami rodziców (np. pieczenie ciast) uczeń musiał zrezygnować z dalszej nauki, bo go to za drogo kosztowało.

Jakie były te prezenty wręczane za „pozytywne oceny”? Waldemar K. raz dał wazon

z kryształami, innym razem 40 jaj. Ci, których nie stać było na indywidualne prezenty, kupowali je zbiorowo. Czasem wraz z prezentem wręczano listę tych, którzy się złożyli na jego kupno. Wówczas zdawali wszyscy. Tak było w czerwcu 1984 r., kiedy to Stanisław C., Krzysztof M., Jerzy Ch., Roman G., Janusz G., Jarosław O. i Roman M. złożyli się po 400 zł i kupili wazon kryształowy.

Tych wazonów zresztą było więcej, bo widocznie pani nauczycielka lubiła kryształ.

Ale wśród „prezentów” był też i serwis obiadowy, i kawa, czekolada, galaretki, słodycze, kurczaki, kolorowe szkło, bluzki, biała farba, pędzle do malowania, koniak, swetry, kosmetyki... Wielu uczniów odrabiała swego rodzaju „pańszczyznę” w domu państwa nauczycielstwa: myli okna, kopali ogródek, wieszali firanki, pielili chwasty, wybierali ziemniaki. Pani nauczycielka nieraz wręcz mówiła do klasy, że potrzebuje czekoladę dla dziecka, a wtedy klasa składała się i kupowała, za to nie było klasówek. W okresie, kiedy nastąpiły kolejki, uczniowie byli przez panią nauczycielkę wykorzystywani jako „stacje”.

Mąż pani nauczycielki, ten od technologii, brał pieniądze, kawę, zegarki (Janusz S. i Robert G. kupili dwa zegarki elektroniczne, ale pan nauczyciel nazajutrz im je zwrócił, polecając przynieść zwykłe. Tak też zrobili). Brał też pan nauczyciel wino, koniaki, benzynę

(koniaki, czekoladę i kawę koniecznie z „Pewexu”). A kiedy nadchodziły wykupki, uczniowie „zagroźni” po 6—8 godzin pracowali na polu panna nauczycielka zbierając ziemniaki. Ale bywało, że i rodzice uczniów także pomagali w polu...

Z obszernych akt sądowych wynotowałem zeznanie Roberta M. i jego matki. Uczniłem to celowo. Są one świadectwem — a zeznający ręczą za ich prawdziwość — ludzkiej zachłanności i karłowatości charakteru. Oto zeznanie złożone przed Sądem Rejonowym w Wieluniu przez Roberta M.:

„Byłem uczniem ZSZ nr 2 w Wieluniu w latach 1983—1987. Oskarżeni uczyli mnie technologii i wiedzy obywatelskiej. Miałem kłopoty z technologią. Było to w klasie I Kłopoty miałem na półroczu i na koniec roku. Groziła mi ocena niedostateczna na koniec roku. Wówczas wezwał oskarżony moją matkę do szkoły. Nie wiem jak to później było, ale wychodziła mi ocena dostateczna. Matka moja zaczęła piec placki dla oskarżonego. Matka uplekała około 70 placków, było to przy końcu pierwszej klasy i przez następne dwa lata. Produkty dowoził oskarżony. Już potem miałem oceny po-

zytywne z technologii. Matka piekła ciasta na imieniny oraz na święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc. Jednorazowo piekła około 8 sztuk ciasta”.

Z zeznań matki Roberta M. Kazimiery M.:

„Oskarżeni uczyli syna przedmiotów zawodowych. Syn chyba miał jakieś trudności w nauce. Ja piekłam ciasto dla oskarżonych. Było to ciasto na imieniny, koniec roku. W sumie było to około 8 razy. Było to około 72 sztuki ciast. Byłam wzywana do szkoły w sprawie, że syn się nie uczy. Rozmawiałam z oskarżonym. Powiedziała, że upekę ciasto na studniówkę. Na studniówkę nie upekłam, tylko dla oskarżonych. Oskarżony prosił mnie, aby na imieniny zjechał pod koniec roku szkolnego upeść ciasto. Było to w 1988 r.”.

Dalej Kazimiera M. wylicza kiedy i w jakich ilościach piekła ciasto i przez ile lat. Były to murzynki, makowce, jabieczniki, torty. W końcu mówi:

„Zrozumiałam, że nie miałam innego wyjścia i dlatego, aby syn ukończył szkołę zdecydowałam się piec ciasto”.

Jak wspominałem akt oskarżenia liczy aż 14 stron, akta sądowe 4 opasłe tomy. Proces daleki jest od zakończenia.

Oskarżeni nauczyciele nie przyznają się do zarzutów, wszystkiemu zaprzeczają. Sprawa nie jest ani prosta, ani łatwa. Wysoki Sąd zapewne wnikliwie rozpatrzy za i przeciw i wyda słuszny wyrok.

Jest benzyna, czy jej nie ma?

Szałeństwo przy pompie

— Gdzie to cholerne paliwo?!

A było już prawie normalnie... Kierowcy z nutką żalu wspominają choćby lipiec, kiedy paliwa nie brakowało. Nadal było kiepskiej jakości (rodzimi specjaliści, również z CPN, uparcie twierdzą, że hasza E-94 ma „moc” przepiślową i niczym się nie różni od tej z krajów ościennych, a wystarczy zatanąć choćby w Czechosłowacji, by auto „dostało skrzydeł”...), ale — było i nie nie wskazywało na to wariatwo, którego jesteśmy świadkami. Coż się stało?

By znaleźć odpowiedź na to pytanie próbowałem „przyprzeć do muru” przedstawicieli jednego dystrybutora w środkowej Polsce, czyli Okręgowej Dyrekcji Centrali Produktów Naftowych w Łodzi — dyrektora naczelnego — Edwarda Głuszczyńskiego i jego zastępcę do spraw handlowych — Michała Czackiego.

— Zanim spróbujecie zarzucić mnie tonami cyfr i wykazów, świadczących o doskonałej pracy dystrybutora, czyli CPN — powiedzcie mi wprost: jest paliwo czy go brakuje?

— Brakuje, bowiem masowy wykup... — Zaraz, zaraz, najłatwiej winę rzucić na kierowców, ale poproszę o fakty.

— Dobrze, tylko najpierw jeden przykład: średniej wielkości stacja benzynowa przy ulicy Brzezińskiej w Łodzi do 10 sierpnia potrzebowała na dobę obu benzyn w granicach 12 tysięcy litrów. I była zachowana bez problemów ciągłość sprzedaży. Już od dnia następnego ta ostatnia „skoczyła” na 20—22 tysiące litrów. I nie możemy nastarczyć...

— Dlaczego? Autocysterny brakuje? Kierowcy strajkują? — Powoli. Taki skok miał miejsce niemal natychmiast na każdej z 109 publicznych stacji CPN w województwie łódzkim, piotrkowskim, sieradzkim, skierniewickim i plockim.

— Dajcie spokój z tym mitycznym wykupem! — Mitycznym? Agenci rozpoznają coraz więcej tych samych twarzów? Cena kanistra „złotej” od stacji oscyluje w granicach 18—20 tysięcy złotych?

— Jeszcze do tego wrócimy, na razie zajmijmy się waszymi autocysternami... — Wozimy, ile tylko zdołamy. Kursuje praktycznie na okrągło około 100 autocystern, w tym kilka wypożyczonych z wojska. Trzeba jednak powiedzieć wyraźnie, że nie wszystkie zaopatrują publiczne stacje. Musimy przecież rozwiązać także za maszyn, olej opałowy, olej napędowy, a z tym ostatnim są duże kłopoty. Kierowcy jeżdżą po 12—14 godzin na dobę i nie oburzają się, że paliwo nie dostarczane jest w niedziele czy w sobotę w nocy; ci ludzie też muszą kiedyś odpocząć! Ale i tak w soboty robimy dużo więcej kursów, proszę, mam tu dane z Koluśzek: w lipcowe soboty — 35—37 kursów średnio, a już 12 sierpnia 55 kursów, 19 sierpnia — 54, a w tygodniu — w granicach 60—62 kursy, gdy w lipcu nie przekraczałyśmy 36 dojazdów dziennie.

— Czy nie możecie wywieźć z Koluśzek więcej? Tylko szczerze.

— Samymi cysternami samochodowymi wozimy obecnie z Koluśzek około 600 tysięcy litrów benzyn dziennie, to jest o prawie 100 tysięcy litrów więcej niż choćby w lipcu. I brakujemy więcej nie możemy. Planowe ilości paliwa muszą przecież wyjść, kolejowymi cysternami, do Poznania, Krakowa, Kielc, Katowic. Wysyłamy awaryjnie paliwo nawet do Słupska i Rzeszowa. Nie mogę im przecież zmniejszyć dostaw. Ale choćbym i mógł przerzucić dwukrotnie większe ilości benzyn, czy „napędu” na stacje — to ich po prostu nie mam.

— Radziecki dostawca przykrecił nam „kran” — to wersja bardzo popularna w koleżkach przed dystrybutorami. Co wy na to?

— Faktem jest, iż Rosjanie w ostatnich dwóch miesiącach przetoczyli nieco mniej paliwa, ale w miesiącach poprzednich dostarczali więcej niż średnio było to potrzebne. Nie mamy więc teraz prawa krzyczeć o więcej, bo z rocznych zobowiązań wywiąż się na pewno.

— Cóż, nasz pech, że zbiegło się to akurat z tą nieszczęsną informacją o podwyżce (notabene — ani jej nie zdementowano, ani nie potwierdzono...) i w ślad za tym — z wykupem paliwa, bo dotyczy to także i oleju napędowego. Nie zaprzeczycie?

— Nie, wręcz przeciwnie, wszelkie dane wskazują, że olej znika jeszcze szybciej niż benzyna. Tylko jedna liczba: porównując dwie pierwsze dekady lipca i sierpnia tego roku, w sierpniu wzrosła sprzedaż oleju napędowego o 58 procent, gdy w benzynach tylko w granicach 15 procent.

— Faktycznie — mało! Byłaby zapewne większa, gdyby dla tych oczekujących przed dystrybutorami paliwa wystarczało.

— Właśnie, oni dopiero czekają. Gdy brakuje i benzyn i oleju napędowego, ja, mając na uwadze szczyt robót polowych — muszę w pierwszym rzędzie zagwarantować zaopatrzenie stacji właśnie w „napęd”. Taka jest smutna prawda — choć i tak zmuszeni byliśmy ograniczyć tankowanie do zbiornika ciągnika i jednej tylko beczki...

— Bagatela — minimum 200 litrów. Ale nie zaprzeczacie, że z Plocka dociera też mniej wyrobów niż powinno?

— Niestety, to prawda. W Mazowieckich Zakładach Rafineryjnych i Petrochemicznych w Plocku miał być w lipcu zakończony planowy remont — tak zwanego drugiego DRW (urządzenie przetwarzające ropę naftową na różne produkty naftowe). Operacja nie całkiem — się powiedziała i dobrze będzie jeśli do końca sierpnia pęchowy DRW ruszy (Ruszy faktycznie w ostatnich dniach sierpnia — przyp. D.D.).

— Czy mimo chronicznego braku twardych walut zmotoryzowani mogą liczyć na interwencyjne zakupy paliw za granicą?

— To już naprawdę nie od nas zależy. Według ostatnich ustaleń zakupimy w Czechosłowacji i NRD 100 tysięcy ton oleju napędowego.

— Na co mogą natomiast liczyć zmotoryzowani benzyniarze?

— Na większe nieco dostawy z Plocka i chyba wreszcie lekkie wyregulowanie rynku. Myślę, że przynajmniej część „chomików” przez te ostatnie tygodnie napęlała już wszelkie możliwe naczynia...

— Osobny temat jakie to powoduje niebezpieczeństwo dla „chomika” i jego sąsiadów, beczki, rozmaite banki i wręcz — naczynia trzymane są wszak w piwnicach i na strychach.

— Niestety, szczyt naszych krajowych możliwości mamy już za sobą: w 1979 roku nasze rafinerie przerobiły 17 milionów ton ropy. I od tego czasu nawet nie zbliżyliśmy się do tej wartości, urządzenia są po prostu coraz bardziej zużyte, coraz częściej wymagają czasochłonnnych remontów. Dość powiedzieć, że w roku bieżącym być może uda nam się, pracując na pełnych obrotach, przerobić około 16 milionów ton.

— A wszelkiej maści pojazdów zużywających i olej i benzynę przybyło w tym czasie bardzo dużo.

— W jeszcze większym stopniu nadmierne zużycie dotyczy samochodów ciężarowych i ciągników.

— Wiem od waszych agentów, a zresztą od dawna jest to tajemnicą poliszynela, że każda stacja ma określona rezerwę paliwa dla służb specjalnych...

— To chyba zrozumiałe: dla milicji, pogotowia, rozmaitych służb technicznych...

— Zgoda. Czy zaprzeczycie, że na każdej stacji benzynowej musieć trzymać rezerwę paliwa dla wojska, stanowiącą — bagatela — 30 procent pojemności zbiorników?

— Nie zaprzeczamy, choć nie nasza to decyzja i nie do nas należy jej komentowanie.

— Oczywiście, ale ja mam sobie na to pozwolenie. Uważam, że w czasach gdy dotkliwie odczuwamy brak paliwa wspomniane rezerwy można by chyba ograniczyć, powiedzmy, o połowę.

Rozmawiał:
DARIUSZ
DOROŻYŃSKI



Rys. Janusz Szymański-Głanc

— Dziwne to było morderstwo. — Zmarszczył czoło jakby chciał dogonić przekorną, wciąż uciekającą myśl. — Gwałt, ale bez rabunku. Zginęła tylko jakaś broszka.

Twarz Andrzeja W., biała przed sekundą, spłonęła chorym, ceglastym rumieńcem.

— Tak — powiedział. — Zginęła tylko jakaś broszka.

— Z brylantami?

— Widzę, że dużo pan o mnie wie. Czemu jednak... czemu mówi pan o tym?

— Bez wyraźnego motywu, panie mecenasie. No, powodzenia!

— Pan mi życzy powodzenia — szepnął z gorącą awanturą. — Akurat pan życzy mi powodzenia!

Potem go wzięli. We wtorek dwudziestego czerwca, po apelu, w odryglowanych drzwiach stanął klawisz i zakomunikował naturalnym, najnormalniejszym tonem: — Wiedzenie — a Bernard złapał w jego oczach błysk i już wiedział.

Za kolanem korytarza runęła na ofiarę Brygada Hyc. W takich momentach skazanci tracą zazwyczaj władzę w nogach — moczą się, defekują, jęczą, płaczą, omdlewają, ale są i tacy, którzy rozpoczynają szaleńczą walkę o życie: drapia, kopią, rozdają na oślep ciosy, padają na ziemię, szukają rozpaczliwie dla rąk jakiegoś punktu zaczepienia. Są tacy, którzy próbują rozwalić sobie głowę o mur, i tacy, którzy próbują własnoręcznie się udusić. Do celi straceń skazaniec wleczony jest jak ustrzelony zając — powłóczy grzbietami stóp, a Brygada Hyc go ciągnie. Bernard reagował wbrew wszelkim bogatym doświadczeniom strażników: wbrew oczekiwaniom tych sześciu rosyjskich chłopów w sztywnych czapkach i szarych mundurach. Brygada Hyc jest stała i niezmienna, nie każdy bowiem nadaje się do tej pracy, nie każdy potrafi znieść związane z nią emocje. Brygada Hyc to przecież kilku dodatkowych katów, którzy w haniebnym akcie uśmiercania mają większy udział niż ten, co zaciska pętlę na szyi. A jednak ci ludzie popuścili chwytły na ramionach Bernarda widząc, że nie napięta on mięśni, że nie stawia żadnego oporu, że jego twarz nie zmieniła się ani trochę.

— Chodźmy, przyjaciele — powiedział.

Spojrzeni po sobie, tych sześciu twardych rosyjskich chłopów.

— A wiesz, gdzie idziemy? — zapytał zdumiony Hyc o dwóch belkach nad daszkiem czapki.

— Wiem.

W celach wybuchła wrzawa: dzwonienie, tupanie, walenie pięściami w drzwi, śpiewy i wrzaski. Więźniowie żegnali Bernarda, składali mu ostatni hołd.

Schody.

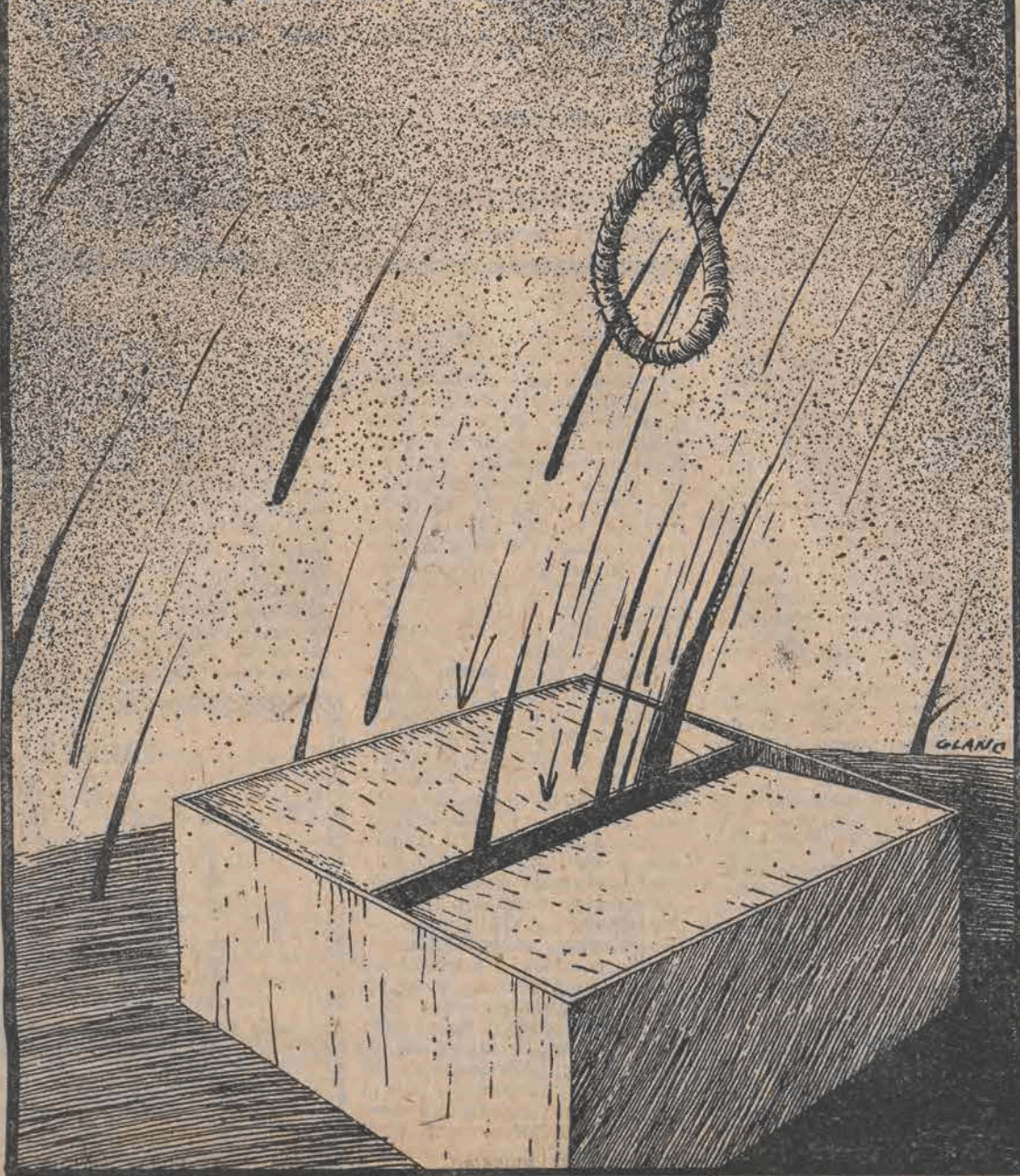
Krótki, ślepy korytarz.

Cela podobna od zewnątrz do wszystkich innych cel: judasz, zamek na klucz i dwie zasuwki.

Weszli do środka i kiedy Hyc z dwiema belkami na czapce zamknął drzwi, wrzawa w celach drugiego pawilonu skonała, jakby ją ktoś odepął nożem.

Było cicho. Było straszliwie cicho w tej celi, która od wewnątrz różniła się od wszystkich innych cel. Po prawej stronie nie opierał się jedynym bokiem o ścianę drewnianą, kwadratoowy stół z czarną żelazną lampą i czarnym ebonitowym telefonem. Przy stole tkwiły na przeciw siebie dwa taborety nischym dwa skrócone o głowę kadłuki, a na wprost ściany było krzesło z oparciem i metalową popielniczką na nóżce. Za stołem majaczyły drzwi do jakiegoś pomieszczenia, w którym kat i pomocnik kata przechowywali zapewne akcesoria i przyrządy. U sufitu wisiały krągłe szklane laski żarzeniowego światła. Na wprost drzwi wejściowych, niby przebiegająca w dużym luksusowym magazynie, przyciągała wzrok obszerna, wydzielona część celi. Składała się ona z dwóch murańskich boków. Boki te połączone były u góry prętami, a na pręcie zamocowana była dwuczęściowa, zielona, sięgająca podłogi kotara.

Andrzej Makowiecki Pięćdziesiąt melonów



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Okna nie było. Nie, nie było żadnego okna, wszelako jakaś mucha oderwała się od ściany i przeleciała nad Bernardem jak bombowiec.

Skąd? — pomyślał. — Skąd mucha w tym hermetycznym bunkrze?

Patrzył na zgrupowanych po obydwu stronach „przebiegali” mężczyzn. Dotrzymał słowa mecenas Andrzeja W. Przyszedł. Stał obok prokuratora siny i drżący. Prokurator, kostyczna uciwłość w okularach, niewysoki czujny i posępny, z bladym, ale zdrowym, dość przystojnym i dość pospolitym obliczem, w eleganckim szarym garniturze (Andrzej W. miał na sobie adwokacki strój), w rękę trzymał coś, co przypominało pracę dyplomową w sztywnych brązowych okładkach. Asystował mu po lewej stronie naczelnik więzienia. Było także wielu innych, nieznanym Bernardowi funkcjonariuszy z różnymi dystynkcjami na rękawach, a jeden zarzucił sobie na plecy jak karabin krótkofalówkę. Był ksiądz w białej sutannie; podszedł i przekreślił kciukiem czoło Bernarda. Było także dwóch cywilów — pierwszy w rudej, drugi w granatowej koszuli. Koszule alarmowały wśród mundurów, wśród oficjalnych szat adwokata, księdza i lekarza, który tkwił samotnie pod ścianą w śnieżnobiałym fartuchu, a na piersiach miał słuchawkę.

Znowu przeleciała nad Bernardem mucha bzykając i waląc o drzwi. Prokurator otworzył „pracę dyplomową”, utkwił w Bernardzie swoje nieczytelne, bezpieczne za szkłem okularów oczy, i zerwał brutalnie pakt milczenia. Pytania, które stawały suchym, wojskowym głosem, sprawiały wrażenie, że przewodniczy komisji poborowej, która też często strąca do piekieł.

— Imię?

Odpowiedź.

— Nazwisko?

Odpowiedź.

— Data urodzenia?

Odpowiedź. Ale odpowiedź szokująca, która ścierała obecnych, a potem zelektryzowała całe więzienie. Bernard cisnął:

— Tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty, Łódź. Bardzo przepraszam, panie prokuratorze, że nie mam przy sobie dowodu.

Prokurator przełknął niespodziewaną i niesamowitą zaczepkę. Mężczyzna w granatowej koszuli, metr dziewięćdziesiąt, szczupły, z łysym ciemieniem i wygolonymi skroniami, z twarzą kamienną, nieruchomą, wypręganą jakby z wszelkich mięśni, a tym samym z wszelkich uczuć, z oczyma o bladych nieprzejrzystych źrenicach i dojrzałym widocznym z daleka rzęsach albinosa, patrzył na Bernarda tak, jak patrzył na turyście ślepe greckie posągi. A przecież coś błysnęło w tej twarzy. Coś przemknęło przez nią jak promień. Coś jakby podziw, jakby uznanie albo współczucie dla tego postawnego, mężnego skazańca w więziennym kombinie koloru mlecznej kawy o granatowych naszytych kieszeniach i luźnym granatowym kołnierzyku.

Prokurator poprawił okulary i pewnym, dobitnym, niezmiennym tym samym tonem odczytał wyrok:

— Skazany na śmierć. Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski.

Hyc, który ścisnął prawe ramię Bernarda, puścił je i wydobyl z kieszeni paczkę wiarusów.

— Wolałbym coś mocniejszego — powiedział Bernard. Zbliżył się ten w granatowej koszuli.

— Popularne?

— Mogą być.

Strzelił zapalną i podał mu ognia w kielichu rąk. Hyc z dwiema belkami wziął od stołu metalową popielniczkę. Ksiądz postąpił dwa kroki.

— Chcesz się wypowiedzieć, chłopce?

Bernard wydmuchnął dym i skinął czołem:

— Tak, ale zrobię to głośno.

Ten w granatowej koszuli zdekonspirował się; był już gotów, trzymał w sekrecie, artrytycznych palcach czarną opaskę. Spojrzył na prokuratora, a prokurator poruszył nieznaną głową. Hyc wyluskał Bernardowi niedopałek z ust i rozgniół go w popielniczkę. Ten w granatowej koszuli, kat, stanął za plecami Bernarda, aby przewiązać mu oczy czarną, akusamitną opaską. Tymczasem przystąpił również do dzieła człowiek w koszuli rudej — rozsunął oburącz ciężką zieloną zasłonę i stanął przy pokrętle po prawej stronie szubienicy. Nad dwuczęściową zapadnią, kryjącą niewidoczną, plastikowy pojemnik na odchody, wisiała linna ze spiralnym zaciskiem. Kiedy ubrany w rudą koszulę pomocnik kata trącił korbę, uśmiechnięta mniej więcej na wysokości szyi Bernarda pęta zafalowała, jakby dmuchnął w nią wiatr. Na bocznej ścianie po lewej stronie szubienicy, półtora metra od podłogi, błyszczała połączona z zapadnią rączka — to właśnie ona wykreśla ludzi z rejestru żywych.

Hyc chwycił z tyłu Bernarda za przeguby rąk i położył mu łapę na potylicy. Dwóch innych Hyców unieruchomiło Bernarda.

dowi ramiona. Kat zawiązywał już opaskę na supeł. Prokurator krzyknął histerycznie:

— Wykonać!

Bernard targnął w ostatniej chwili głową i opaska zsunęła się z oczu.

— Chciałbym złożyć oświadczenie — powiedział. — Nie muszę chyba robić tego po ciemku?

— Proszę mówić — szczerzył rozdrażniony, wyraźnie niezadowolony prokurator.

Kat podał opaskę Hycowi i zajął miejsce przy szubienicy. Poruszył lewym i prawym obojczykiem. Hyc sfolgowany w chwytach, więc lewym i prawym obojczykiem poruszył także Bernard.

— Był trzech uczestnik napadu — zakomunikował spokojnie, podczas gdy tegi, niski funkcjonariusz dopadł na rozkaz naczelnika stołu i zaczął stenografować. — Był i jest. Można go zwinąć. Można odzyskać dwanaście milionów. Czekaj w moim samochodzie za mostem. Dostarczył broń i motocykl.

— Dlaczego skazany mówi o tym dopiero teraz? — zapytał prokurator.

— Żeby żyć — odparł Bernard. — Gdybym wyznał to wcześniej, powiesilibyście mnie tak czy owak.

On jest genialny — pomyślał Andrzej W. — Wytrzymał do osiemdziesiątej dziewiątej minuty meczu. Amerykański zbrodniarz, wysłuchawszy wyroku śmierci, doszedł do wniosku, że nie ma już nic do stracenia i przyznał się do kilku nastu innych gwałtów i zabójstw wiedząc, że i tak pójdzie na krzesło. Pospieszył się. Bernard T. nie popełnił tego błędu. Bernard T. postanowił zmierzyć się z szubienicą i kto wie, czy nie ocali gardła.

— Jak brzmi nazwisko trzeciego uczestnika napadu? — Brwi prokuratora zmarszczyły się i zapadły w okularach.

Andrzej W. czekał w napięciu. Był przekonany, że Bernard wpadnie w pułapkę, ale skazaniec rozgrywał swoją partię po mistrzowsku.

— Tego nie powiem. To ujawnię dopiero w sądzie.

— Skazany konfabuluje, żeby odwlec moment egzekucji.

— Nie. Jeśli wyjdę stąd, wskazać miejsce, gdzie zakopane są kaski, rewolwery, rękawice i sakwojaż od pielęgniarki. Wskażę również miejsca, gdzie nasz wspólnik zakopał swoją część łupu.

Mylił się Bernard sądząc, że to wystarczy. Prokurator podniósł rękę i Hyc z dwiema belkami zawiązał mu opaskę na oczach. Dwóch innych Hyców unieruchomiło ramiona Bernarda, pchając go jednocześnie w szyję i w głowę. Cała brygada gotowa była ruszyć, a kat i asystent kata, każdy przy swoim instrumencie, jakby popędzali ją utkwionymi w skazańca oczami. Straszliwie zdenerwowany prokurator, niewzruszony dyrygent dramatu, nadął policzki. Polecenie: — Wykonać! — pęczniało mu w ustach, ale Bernard rzucił raptem na stół kolejne karty.

— Poczekać! — ryknął. — Trzeci uczestnik to morderca, którego poszukiwano dwadzieścia kilka lat za gwałt i zabójstwo dziewczyny! — Wywrzasz na nazwisko Joanny. — Ja nie kłamię! — Skierował zakryte oczy tam, gdzie stał sparaliżowany adwokat i zaliczył, oddając mu życie w depozyt: — Panie mecenasie, broszka!

W głowie i w sercu Andrzeja zapłonęło sto różnych błyskawicznych uczuć i myśli. Podziw, ulga, zniechęcenie, strach, miłość, żal i nienawiść. — Cyfrowy drań! Cały czas o tym wiedział! Trzymał to w rękawie jak asa! — Ważyły się losy Bernarda. Ważyły się w tym ulamku sekundy, kiedy adwokat toczył bój z sumieniem. — Może powiedział: — Jaka broszka? — Zawiśnie i będę miał spokój. Mogę również powiedzieć: — Tak, panie prokuratorze, broszka. Teraz już wiem, kto jest zabójcą dziewczyny i trzecim uczestnikiem napadu. — Skoro to wiem, Bernard jest niepotrzebny: musi dać gardło! Nie chciałem jednak tego oglądać. Nie, trzeba walczyć! Trzeba dobrze właściwie słowa. — I Andrzej W. podjął licytację:

— Broszka, panie prokuratorze. On mówi prawdę.

— Pan zna tę prawdę?

— Nie — skłamał Andrzej.

— Ale domyślam się jej. Zamordowana dziewczyna była moją narzeczoną, a broszka, którą ofiarowałem, Joannie w prezencie zaręczynowym którą zabrał morderca, należała kiedyś do mojej matki. Rozpoznałam ją. Reczę za to słowem honoru i praktyką. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że skazany mógłby ujawnić wstrząsające fakty, związane z tym podłym nie wykrytym morderstwem i z napadem na bank. Musi pan zawiesić egzekucję!

Tęgi funkcjonariusz stenografował jak szalony, a zdenerwowany do granic histerii prokurator, czerwony jak transparent i dygotający ze wściekłości, szepnął złowieszczo:

— Pan dobrze wie, mecenasie, że nie wolno mi zawiesić egzekucji. Pod żadnym względem i pod żadnym pozorem! Mogę wysłuchać oświadczenia i na tym koniec. Nie jestem tu po to, aby sądzić i rozstrząsać fakty. Jestem tu wyłącznie po to, aby doprowadzić do prawidłowego wykonania wyroku. Wyrok musi być wykonany!

Dopiero teraz ponucili Bernardowi kolana. Dotąd, w sądzie i w więzieniu, wierzył, że jest nietykalny, teraz wiara wyciekała z niego z każdym oddechem. Zwiłczał w ramionach Hyc-Brygady, która znowu była gotowa i tylko czekała na sygnał, wykrecając mu ręce i zginając kark, aby trafić precyzyjnie głową w pętlę.

Przypomniał sobie raptem Bernard wykłady Pietrucha: jedynie chory i kobieta ciężarna nie łączy na sznur. A Cwał-brat basował: nie ma już dla pana de la szasa, nie ma! Pietruch dobijał: gdybyś dałmy na to, kat że się poczuł i odmówił nowieszenia. Prokurator, panie kolezo, musiałby zawiązać panu krawaty własnymi rękami, musiałby powiesić pana obojczykiem. Takie są przepisy. Takie jest prawo. Wyrok musi być wykonany! Musi!

Wszelako Andrzej W. huknął nagle prokuratorowi w twarz:

— Nie musi.

— Pan sobie uzurpuje! — Prokurator skierował wzrok na stół, przy którym basował funkcjonariusz. Mucha strzeliła w lampę, zakolowała i usiadła na czarnym telefonie. — Pan ma chęć do ingerowania...

— Nic podobnego.

— Nie było po wojnie takiego precedensu!

— Więc niech pan stworzy precedens!

— W żadnym razie!

Teraz Andrzej zatrzymał wzrok na telefonie zastanawiając się, czy jest to interkom, czy aparat z wyjściem na miasto. Syknał z jawną pogróżką:

— Woli pan uśmiercić za wszelką cenę niż odzyskać dwadzieścia milionów i aresztować groźnego zbrodniarza?

— Obowiązują mnie przepisy i prawo.

— Najwyższy czas, żeby zaczęła obowiązywać pana sprawiedliwość! — wrzasnął rozsierdzony adwokat. — Najwyższy czas, aby pomyślał pan również o interesie społecznym!

Ten przy stole notował bez przerwy. Twarz prokuratora gorzała nienawiścią i paniką. Trzeba podjąć jakąś decyzję. I to już! W lewo lub w prawo!

Kat dotknął zniecierpliwionym gestem sznura. Jego asystent pochylił grzbiet i zacisnął palce na korbie. Brygada Hyc spięła się do skoku. Bernard omdlał, a potem odzyskał przytomność: moc wśliznął w nogawkę i spływał na podłogę. Andrzej pomyślał, że szewc tak czy owak nie uniknie kary. Ksiądz szepnął pacierz. Lekarz położył obie ręce na słuchawkach. Protokolant odszedł od stołu. Mucha wykonała nad Bernardem kolejny bojowy lot, stukając całą siłą rozpędu w ścianę nad szubienicą.

W celi zapadła śmiertelna cisza nadziei i grobu.

Nie trwała długo.

Prokurator poprawił okulary i otworzył usta.

KONIEC

M.S. Władysław Łokietek, Afryka, Łódź, 1988 — 1989.

Wideonotes

Potrzebne są zmiany

Rozmowa z TOMASZEM SAMOSIONKIEM,
asystentem na Wydziale Operatorskim łódzkiej PWSFTvT.



Foto: Andrzej Wrzesień

— Zaczęłeś studia w Szkole Filmowej w 1981 roku, będąc jeszcze studentem Politechniki Łódzkiej. Co zmieniło się w Szkole od tego czasu?

— Przede wszystkim skład profesorów. Dawał on możliwość zapoznania się z różnymi dziedzinami sztuki filmowej. Łączyło się to z takimi nazwiskami jak Ryszard Waśko, Józef Sobakowski, Andrzej Różycki. Ludzie ci proponowali zupełnie inny program studiów, inną społeczność, zresztą równoległą do programu „tradycjonalistów”.

— Co się polepszyło, a co uległo pogorszeniu w strukturze dydaktycznej szkoły?

— Niewątpliwie ożywił wykład, w tym samym czasie lat 80. był przyjazd na wykłady Jerzego Wójcika i Witolda Sobocińskiego, mistrzów polskiego kina, którzy zaprezentowali na wykładach profesjonalne spojrzenie na zagadnienia filmu współczesnego. Solągnięcie tych ludzi do Łodzi było niewątpliwie sukcesem szkoły. A co uległo pogorszeniu, może to paradoksalne, ale obserwuję pewną niemoc twórczą wśród samych studentów. Brak wybitnych talentów i wybitnych indywidualności (mówię tu oczywiście o Wydziale Operatorskim) — teraz mamy jednego, dwóch zdolnych ludzi na roku, kiedyś było ich znacznie więcej.

— Z czego to wynika?

— W ostatnich latach nastąpiła taka pauperystyczna atomizacja społeczeństwa, która zapoczątkowała całą reakcję łańcuchową różnych niekorzystnych zjawisk. Brak intelektualnie młodych ludzi są, jak sądzę, także efektem kryzysu.

— Co myślisz o pomysłach prze-

niesienia Szkoły Filmowej do Warszawy?

— Nic by to nie dało. Łódź natomiast straciłaby ostatni bastion kultury, liczący się w kraju. Szkoła posiada w Łodzi liczne powiązania z różnymi instytucjami i osobami, dzięki którym udało się czasem doprowadzić do szczęśliwego końca tak znaczące wydarzenia kulturalne, jak „Łochy Manhattanu” czy „Konstrukcja w Procesie”.

— Słyszysz się często, że w ostatnich latach szkoła nabrała akademickiego charakteru, że jakby nieco skostniała i miała rozwijać umiejętności zdolności swych adeptów, wliczając ich w sztywne schematy nauczania.

— Niewątpliwie wynika to z przeobrażenia programu — jest wiele przedmiotów, które tak naprawdę z samymi studiami mają niewiele wspólnego. W związku z tym naszym studentom często brakuje czasu na efektywną pracę koncepcyjną. Kostnieją w ten sposób studenci, natomiast struktury, o których mówię, istnieją wymagając głębokiej reformy, ale to z zupełnie innych przyczyn...

— A czego najbardziej w tej sytuacji potrzeba szkole?

— No, przede wszystkim środków, czyli pieniędzy. Jest rzeczą niemożliwą wykonanie filmu przy pomocy pinetki i sznurka, a nie stety tak się to właśnie dzieje. Ponadto ogromnie jest rozbudowana administracja szkoły — mam tu na myśli cały pion produkcyjny. Dalej, przestarzały sprzęt, kamery i taśma.

— Czy zainteresowanie studiami w Szkole Filmowej zmalało?

— Był okres, mniej więcej do 1987 roku, kiedy zdawało się, że wróciło bardzo mało ludzi. Dawniej konkurencja była znacznie ostrzejsza. Zdawało się blisko dwadzieścia osób — na nasz wydział — podczas gdy ostatnio od 70 do 90 kandydatów składało papiery.

— Czy mógłbyś jako praktyk i teoretyk zarazem, ustosunkować się do panującego w Polsce mitu bogatego filmowca?

— Uważam, że ten zawód to hobby. W naszych warunkach, żeby zapewnić sobie jakieś minimum życiowe, należałoby robić coś innego. Istnieje poważna szansa, że praca ta zostanie wydana w formie książki przez Wydawnictwo Sztuka Polska w Łodzi.

— Co skłoniło cię do pozostania w szkole?

— Były dwa powody: pierwszy to możliwość kontaktu ze studentami i profesorami, praca naukowa; udało mi się, mam nadzieję, napisać pracę dyplomową na oryginalny i pomijany dotąd temat

dotyczący sztuki wideo w Polsce. Drugim powodem były warunki materialne — człowiek po skończeniu Szkoły Filmowej jest jakby zawieszony w próżni. Zdarzają się oczywiście wypadki, kiedy nasi absolwenci wchodzi do kinematografii jak burza, ale zwykle na debiut czeka się cztery, pięć lat, mając się po drodze różnych zajęć ubocznych.

— Jaka będzie przyszłość szkoły?

— Jak powiedziałem ci wcześniej, szkole należy się świeży oddech, związany być może ze zmianą sposobu nauczania. Kolosalną pomocą byłoby tu także sukcesy polskiego filmu, które przyciągnęłyby do szkoły więcej uzdolnionych ludzi. Jest dla mnie zagadką, dlaczego ludzie w ogóle oglądają tak mało filmów, i dlaczego wzorami dla naszych studentów przestają być reżyserzy i operatorzy polscy. Chociaż tu może znalazłoby się wyjaśnienie — po prostu w Polsce ekipa filmowa 90 procent swego czasu poświęca na jakiegoś głupstwa administracyjnego, a na samo, dzieło zostaje 10 procent.

— A jakie były twoje losy jako twórca?

— Zadebiutowałem w filmie rok po ukończeniu szkoły, wcześniej pracowałem także jako fotostatysta i operator kamery. Byłem głównym operatorem, czyli realizatorem zdjęć do filmu pt. „Nimfalki” w reżyserii Andrzeja Orzechowskiego. Jest to godzinny film dla dzieci, wielokrotnie zresztą nagradzany w Polsce i za granicą m.in. na Festiwalu Filmów Dziecięcych w Tomar w Portugalii. Ponieważ współpracę z reżyserem układała się dobrze, rok później zrealizowaliśmy inny film, fabularny, pt. „Złoty odcień czerwieni”. Obecnie pracuję z Władem Berestowskim nad kolejnym filmem kinowym dla dzieci. Liczę także na sukces mojej pracy magisterskiej, o której już ci wspominałem. Sztuka wideo była dziedziną mało znaną w Polsce, słabo udokumentowaną — dość powiedzieć, że materiały głównie w formie przekazów ustnych samych twórców zbierałem blisko 4 lata. Istnieje poważna szansa, że praca ta zostanie wydana w formie książki przez Wydawnictwo Sztuka Polska w Łodzi.

Rozmawiał:
MACIEJ
ŚWIERKOCKI



Masz temat dla reportera?
Coś ci drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy opinie i fakty przedstawiamy w relacjach i reportażach z dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

7 września — EUGENIUSZ IWANICKI — godzina 10—15.

14 września — MAREK KOPROWSKI — godzina 10—15.

SPRAWOZDANIE Z DYŻURU REPORTERA
z dnia 31 sierpnia 1989 roku.

Jak nisko upaść może jeszcze etos pracy w Polsce? Jak dalece posunie się rozkład instytucji państwowych, znanych niegdyś ze swej solidności? Oto pytania, nad którymi trzeba się z trwogą zastanowić dokonując bilansu ostatniego dyżuru przy redakcyjnym telefonie. Przyniósł on jak zwykle sporą porcję zażaleń i utyskiwań, sporo nerwowych wypowiedzi, wiele przykładów świadczących o tym, iż życie przeciętnego Polaka staje się jednym pasmem stresów.

Jerzy L. z ul. Nawrot postanowił zmienić sobie miejsce odbierania przerw (zapłacił za „Rozrywkę” i „Pana”). Dotychczas otrzymywał ją na poczcie w „Juventusie”, wypatrzył jednak bliższy kiosk na rogu ul. Targowej i Mickiewicza. Zamianę przeprowadził formalnie w kwietniu i od tej pory nie otrzymuje już czasopiśm. Po długim dopraszaniu się o wyjaśnienia, PUPiK przy ul. Zamenhofa odpowiedział, iż zasłania pomyłka i przerwę odbędzie do odebrania w innym kiosku, mianowicie przy zbiegu ulic Wodnej i Miedzianej. Alibi, kiedy L. zgłosił się do tegoż kiosku, dowiedział się, że kioskier o niczym nie wie i w ogóle przerwę nie prowadzi. Urzędnicy byli przeciwnego zdania; doprowadzenie zaś do uzgodnienia stanowisk w tej kwestii, okazało się ponad siły naszego petenta. Co rusz telefonuje on teraz do dyrekcji PUPiK, młota się, zgrzyta zębami... I po co mu to było? Czy nie wiedział, że lepiej jest nadkładać nieco drogi niż ryzykować pertraktację z urzędem?

Bożena Banaszewska (zam. przy ul. Kusocińskiego) także nie popisała się przezornością. Jej dziecko, przebywające na koloniach w Łebie, przysłało do mamy list w prośbie o pieniądze. Uległa tej prośbie, a efekt niestety był taki, że koperta z listem dotarła do Łeby mocno nadwężona, bez włożonego do niej nieprzeprzone banknotu. Pani Bożena słyszała o podobnych wypadkach na pocztowej trasie Łódź — Łeba. Zapytuje z goryczą: czy nie dość, że musieliśmy znieść strajk pocztowców? Odpowiedź, że być może ktoś inny strajkował, a kto inny zabiera z kopert pieniądze, wcale jej nie przekonała... I jak tu wytłumaczyć nerwowym ludziom, że przezorny obywatel nie powinien dziś korzystać z usług poczty?

Przygody z pocztowcami miała także Aleksandra K. z teatru „Arlekin” (telefon służbowy 33-08-94), która usiłowała 29 sierpnia nadać telefonicznie dwa telegramy: do Iwanowa w ZSRR, i do aktorki w Łodzi. Po dłuższych wysiłkach, udało jej się nawet dozwonić. Zgłoszenie przyjęto, rozpoczęło się oczekiwanie na telefon, przez który można będzie przedyskutować treść telegramów. Minęła godzina, a telefonu nie było. Po interwencji u kierowniczki, Aleksandra K. doczekała się wreszcie (po półtorę godzinie) realizacji usługi. Ledwie jednak minęła następna godzina, a telefon znów się rozdziwił. Poproszono ją, aby przekazała treść telegramów... Wyjaśnienie, że zostały one już nadane, wystarczyło tylko na kolejną godzinę. Trzeci telefon urzędu, z prośbą o podanie telegramów, zadzwonił pod nieobecność pani Aleksandry. Przyjęła go inna osoba, która — nie wiedząc o niczym — przedyskutowała ponownie telegram do Iwanowa. Już po wszystkim okazało się, że żaden telegram do aktorki nie dotarł. Czy dotrze podwójny telegram do Iwanowa? Nikt w „Arlekinie” nie jest tego pewien...

Teresa Zielińska (rodzianka — jak zaznacza) martwi się fatalnym stanem miasta, podając wiele przykładów niedbalstwa i braku elementarnej gospodarności (m.in. wskazuje na „rozsadniki chorób”, jakimi stały się ohydne pojemniki na śmieci; oburza ją dewastacja elegancji niegdyś parków i brud, panujący wszechwładnie w najbardziej reprezentacyjnych miejscach Łodzi). Pani Teresa uważa, że tego stanu rzeczy nie da się wytłumaczyć wyłącznie kryzysem. Jest zdania, iż jest on w dużej mierze wynikiem

nieudolności dotychczasowych władz miasta. Wyraża nadzieję, że „wstrząsy” jakie nastąpią ostatnio we władzach miasta (dlaczego tak późno? — zapytuje) spowodują po oewnym czasie poprawę. Na marginesie tych uwag T. Zielińska podpowiada, że należy zrezygnować z sygnalizacji świetlnej na ulicy Rzgowskiej naprzeciwko CZMP, zastępując ją ewentualnie zółtym światłem pulsującym. Nie ma i długo jeszcze nie będzie — zaznacza — takiego ruchu do CZMP, który by uzasadniał wstrzymanie pojazdów na dwuletniej trasie.

Panowie Jan Rol i Rutkowski łączą się z T. Zielińską w ocenie dokonanych ustępujących władz politycznych i administracyjnych miasta. Dostrzegają przy tym, iż przypisywać całą winę władzom byłoby zbyt prostym uproszczeniem. Winni są wszyscy ci spośród nas, którzy nie reagują na codzienne przykłady obyczajowego zdziczenia, jakie przedtem się w Łodzi nie zdarzały. Przykładem: brak szacunku dla pomnika Tadeusza Kościuszki i Ratusza na placu Wolności, co dawniej było nie do pomyślenia. Łódź — zaznacza — obaj panowie — potrzebna jest silna, ale i mądra władza, ciesząca się poparciem większości mieszkańców. Ostatnie przemiany polityczne w Polsce dają ostrą nadzieję, że zmiana w tym kierunku wkrótce nastąpi.

ANDRZEJ
GĘBAROWSKI

FABRYKA DYWANÓW „DYWILAN”

- Z A T R U D N I
- w zawodach technicznych:
- ▲ elektryk
 - ▲ obsługa klimatyzacji, sprężarek
 - ▲ ślusarz
 - ▲ tokarz
 - ▲ nastawiacz maszyn
- oraz pracowników niewykwalifikowanych na stanowiska:
- ▲ robotnik transportu i magazynu
 - ▲ do przyuczenia w zawodzie tkacz, przadka.

Prosimy o zgłaszanie się do Działu Spraw Osobowych, I p. pokój 109 — Łódź, ul. Dąbrowskiego 247/249, tel. 43-11-04.

Dojazd autobusem linii 77 i 64.

5649/K

„Odgłosy” proponują:

Film:

Mirosław BORK — realizator nagradzanych filmów dokumentalnych „Absolwent” i „Smród” — na swój debiut fabularny wybrał historię autentyczną, znaną z kronik sądowych — sprawę hochsztaplera Czesława Sliwy. W przygodach słynnego oszusta reżyser dostrzegł szansę połączenia atrakcyjnej formy, a więc komedii kryminalnej z obserwacjami społecznymi i w ten sposób powstał film pt. „Konsul”, ukazujący sprawę założenia konsultatu austriackiego, który funkcjonował ponad miesiąc.

W rolach głównych występują Piotr Fronczewski, Maria Pakulnis, Krzysztof Zaleski, Henryk Bista i inni.

TV:

Z najbliższego repertuaru Telekina pragniemy zwrócić uwagę na dwie pozycje filmowe. W stałym cyklu „Zwierzciadło czasu” TVP przedstawi głośny obraz Aleksandra Proszkina pt. „Chłodne lato '53”. Korzystając z „perestrojki” Proszkin podjął temat skazanych politycznych i łagrow. Film opowiada o zwolnionych z łagrów, na mocy amnestii wydanej przez Berię, 6 niebezpiecznych bandytach, którzy grasują po okolicy. W walkę z bandytami uwikłani są dwaj inni zesłańcy polityczni szukający schronienia w pobliskim lesie. Film otrzymał liczne nagrody. (Piątek, 8 września, godz. 20.05, TV D).

„BUBU z MONTFARNASSU” to kolejna nasza propozycja. Adaptując na duży ekran głośną powieść Charlesa Louisa Philippe’a, reżyser MAURO BOLOGNINI wprowadził wiele zmian, a co najważniejsze przeniósł akcję z paryskiego Montparnassu na grunt włoski, w schyłek XIX wieku. Piekarsz Bubu poznaje młodą dziewczynę — Bertę, zaczynają żyć razem. Ciężka praca i nędzne zarobki szybko nudzą się Bubu; namawia swoją dziewczynę, aby wzorem swojej siostry została prostytut-



ką. Wtedy zjawia się ten drugi... Mnóstwo wzruszeń i dużo, dużo łez. (Piątek, 8 września, godz. 22.45 TV 2).

Pragniemy zwrócić uwagę młodej widowni (i nie tylko!) na... Wczorzynek. Poczynając od 10 września, co niedzielę o godz. 19.00, gościć będziemy w niej przez pół roku nowy serial filmów animowanych Walta Disneya. Jego bohaterami są... siostrzeczki Kaczor Donald i Huey, Dewey i Louie, ich szalenie skapy Wuj (a raczej dziadek), odważny, acz pechowy pilot — kaczor i wiele innych zabawnych postaci. Oczywiście, jak przystało na wielką gwiazdę, od czasu do czasu pojawi się też sam Kaczor Donald...

Po dwuletniej przerwie w Kinie Familijnym ponownie spotkamy się z dr. Grantem Robertsem i jego dziećmi wraz z ich ulubienicą — wydrą Danger w filmie „NIEBEZPIECZNA ZATOKA”. Będą to 22 nowe odcinki przygodów wieloletniego weteranarza z Akwarium w Vancouver i jego współpracowników: dr. Donney Cher — biologa i groźnego, wściekłego powaźnego dyrektora Akwarium dr. George’a Dunbara. Produkcję zapowiada powstanie 65 kolejnych odcinków filmu, który cieszył się zasłużonym zainteresowaniem widzów. (Pierwszy odcinek, niedziela, 20 września, godz. 13.10 TV 2).

POLEMIKI

LISTY OPINIE

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie” publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

SKĄD NIEMCY WOKÓŁ ŁODZI?

W r. 1793 nastąpił II rozbiór Polski. Okolice Łodzi znalazły się pod panowaniem Królestwa Pruskiego. Od tego czasu nastąpił okres wzmocnionej kolonizacji pruskiej.

W r. 1800 na miejscu pastwisk i lasów należących do Rzgowa założono osadę Effinghauser (Starową Górę), a także Olechów (Olendry Wiskickie), a w 1802 r. Friedrichshagen (Augustów). Głównym punktem osadnictwa, który w przyszłości miał być ośrodkiem administracji pruskiej (miastem powiatowym) było osiedle rolne Neu Susfeld (Nowosolna). Osiedle to wybudowano do dziś istniejącym jeszcze systemem gwiazdowym (osiem ulic rozchodzących się z rynku stanowiącego punkt centralny osiedla). W latach 1803—1804 powstały jeszcze wsie: osiedla szwabskie Wiaczn Górny, Dolny i Nowy oraz Andrzejów.

W r. 1807 obszar ten został włączony do Księstwa Warszawskiego. Pod polską administracją zmalała liczba wsi zakładanych przez niemieckich kolonistów. Druga faza kolonizacji niemieckiej rozpoczęła się po roku 1835, tj. po sprowadzeniu maszyn parowej do Łodzi i w czasie potężnego rozwoju przemysłu.

W okresie międzywojennym napływała ludność niemiecka cieszyła się pewnymi przywilejami, co pozwoliło na przyjęcie przez dużą jej część „nowinek” hitlerowskich, podsyconych przez prace legalnych i półlegalnych organizacji.

Powstałe w Łodzi w czerwcu 1939 r. Pogotowie Harcerzy wiedziało doskonale o zaistniałej sytuacji i dlatego też jednym z punktów jego działalności było rozrozczenie dyskretnej opieki nad organizacjami niemieckimi i rodzinami przejawiającymi hitlerowskie „ciągoty”. Wyniki tych obserwacji nie dawały długo na siebie czekać, gdy poszczególne drużyny zajęły się przydzielaniem sobie rejonów.

Tak np. 8 LDH im. Adama Mickiewicza zainteresowała się piekarnią Hartmanna przy ul. 11 Listopada 17, gdzie w sąsiedztwie obok mieszkaniu zbierali się podejrzani osobnicy. Powiadomiona policja nie mogła jednak zareagować, gdyż piekarnia ta była pod „opieką” Wajera, komisarza policji państwowej, który w latach okupacji przypomniał sobie niemieckie pochodzenie i został komisarzem policji kryminalnej.

Zainteresowano się też działalnością szkolnego kolegi Olafa Krügera, zam. ul. Nawrot 23, którego rodzina zbyt często próbowała „skaptować” jego kolegów klasowych propozycjami wyjazdów wakacyjnych do Niemiec i „zwiedzenia” tamtejszych warunków egzystencji.

Punktem zainteresowania 20 LDH im. Zawiszy Czarnego był zakład cukierniczy przy rogu ulic Kilińskiego i Orlej, gdzie jego właściciel Niemiec próbował za pośrednictwem łakoci wyciągnąć od młodych harcerzy informacje o działaniach drużyny w zakresie wychowania obywatelsko-politycznego.

Na Radogórze miejscowa drużyna harcerska prowadziła rozeznanie działalności rodziny pastora niemieckiego zamieszkałego przy ul. Zgierskiej. Jak bardzo była ona wskazana dowiada tego noc z 5 na 6 września 1939 r., kiedy to rodzina ta dawała latarkami elektrycznymi sygnały niemieckim pilotom. Nie jest rzeczą pozbawioną realnych przypuszczeń, że sygnały te naprowadziły niemieckich pilotów na siedzibę sztabu armii „Łódź”, która mieściła się w pałacu Heinza w parku Julianowskim przy ul. Zgierskiej 133.

Wiele spóstrzeń uczynili harcerze podczas wiosenno-letnich wędrowek po okolicach Łodzi. Np. w Wiskitnie, wsi zamieszkałej przez kolonistów niemieckich, będący na wycieczce zastęp z 20 LDH im. Zawiszy Czarnego był prowokowany zaczepkami przez młodych Niemców. Harcerze zauważyli zniszczone tablice informacyjne i drogowskie, o czym zawiadomiono posterunki i komisariaty policji.

W pierwszych dniach wojny harcerze z 13 LDH im. gen. Józefa Bema odkryli we wsi Nowosolna tajną radiostację niemiecką i dopomogli w aresztowaniu pracującego przy niej niemieckiego szpiega. Obserwując działalność niemiecką przy ul. Pomorskiej (Nowokół) nr 131 harcerze z 18 LDH im. Króla Władysława Jagiełły odkryli zakonserwowaną komórkę NSDAP, w lokalu której znajdowała się broń i ulotki szkalujące Polaków.

Działającym w Pogotowiu Harcerzy członkiem 16 LDH udało się schwycić dywersanta niemieckiego na skwerze między ulicami Julianowską, a nie istniejącą już ul. Stanisława Konarskiego. Podobnym sukcesem mogli pochwycić się harcerze z 18 LDH, organizując obławę na niemieckich dywersantów przy ul. Jana Matejki. Harcerze brali udział w penetrowaniu terenu kościołów ewangelickich przy ul. Piotrkowskiej, Henryka Sienkiewicza i na pl. Wolności, gdzie odkryto smagazynowaną broń, części do radiostacji i amunicję. Podobna akcja przeprowadzona została w gimnazjum niemieckim przy al. Tadeusza Kościuszki.

Opisane wypadki działalności antydywersyjnej prowadzone były tylko do 6 września 1939 r., gdyż ci wszyscy, którzy brali udział w tych akcjach w obawie przed zemstą Niemców, zmuszeni byli w nocy z 6 na 7 września ewakuować się z Łodzi na wschód (do Warszawy, bądź za Wisłę). Ci nieliczni, którzy zostali na miejscu, byli narażeni na represje ze strony wkraczającego do miasta okupanta, co ujawniło się w pierwszych dniach panowania Niemców w Łodzi.

MIECZYSLAW KOZAK

„SMULSKI RAJ” RAZ JESZCZE

Ryszard Binkowski w „Odgłosach” z 2 lipca 1989 r. napisał obszerny artykuł pt. „Smulski raj”, przypominający chwilami relację naocznego świadka sensacyjnych wydarzeń. Z treści można się dowiedzieć, że natchnieniem do napisania tego artykułu był niewątpliwie urok energiczny pary rzemieślników z branży krawieckiej. Urok urokiem, ale przydałoby się zachować trochę „staranności i rzetelności przy zbieraniu materiałów prasowych...” (patrz art. 12 Prawa prasowego).

Każdy czytelnik „Odgłosów” zgodzi się z tezą, że organ administracji państwowej, aby być praworządnym, powinien działać zgodnie z prawem. I nie jest to „urzędnicze widzenie świata przez kołskie okulary” — jak pisze Ryszard Binkowski — ale stosowanie takiego prawa jakie jest. Podstawą działania organu nadzoru budowlanego jest prawo budowlane. A prawo to nakłada na ów organ szereg obowiązków, w tym wstrzymanie robót budowlanych, gdy są one wykonywane w sposób

istotnie odbiegający od ustaleń i warunków określonych w przepisach i w pozwoleniu na budowę.

Bohaterowie artykułu, małżonkowie Małek rozbudowywali swój segment na osiedlu Smulsko właśnie w sposób istotnie odbiegający od ustaleń zawartych w pozwoleniu na budowę, którego integralną część stanowił zatwierdzony projekt techniczny. Jak wiadomo, segmenty stanowią część budynku szeregowego. Orzecznictwo Naczelnego Sądu Administracyjnego jest jednoznaczne co do tego, że budynek szeregowy, składający się z segmentów stanowi określoną formę zorganizowanego budownictwa jednorodzinnego i w rozrządzeniu przepisów prawa budowlanego jest jednym budynkiem. Segment budynku szeregowego nie stanowi samodzielnie budynku, lecz samodzielną część budynku — w rozumieniu odrębnej nieruchomości. Nie daje to jednak prawa do dowolnej rozbudowy własnego segmentu.

Małż. Małek i inni właściciele segmentów otrzymali pozwolenie na budowę według określonego, zatwierdzonego projektu. W wyniku dokonanej przez organ nadzoru budowlanego i instancji — tj. kierownika Wydziału Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego Urzędu Dzielnicy Łódź-Polesie — kontroli terenu budowy stwierdzono, że segment małż. Małek był budowany w sposób istotnie odbiegający od pozwolenia na budowę i zatwierdzonego przez organ projektu. Podwyższenie budynku o jedną kondygnację, wykonanie ganku czy wykonanie dodatkowych balkonów wymaga nowego pozwolenia na budowę, bądź dokonania zmian w pozwoleniu już wydanym i prawomocnym. Małż. Małek wykonywali także wymienione roboty budowlane bez dodatkowego pozwolenia na budowę i bez zatwierdzenia zmian w posiadanym projekcie.

Właściwym w tych sprawach jest organ nadzoru budowlanego i instancji, tj. kierownik Wydziału Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego Urzędu Dzielnicy Łódź-Polesie. Małż. Małek wiedzieli, kto im wydał pozwolenie na budowę segmentu. Do tego samego organu powinni byli zwrócić się — jeszcze przed rozpoczęciem robót — o dodatkowe pozwolenie na nadbudowę bądź o zatwierdzenie zmian wprowadzonych do obowiązującego ich projektu. Ustalenia dokonane z nie upoważnionym pracownikiem Wydziału Urbanistyki i Architektury nie powodowały żadnych skutków prawnych. Organ nadzoru budowlanego i instancji, wstrzymując roboty budowlane małż. Małek, jednocześnie określił warunki, dotyczące uzupełnienia dokumentacji, które powinny zostać spełnione w celu uzyskania zezwolenia na wznowienie robót. Obowiązek takiego zachowania się w wypadku samowoli budowlanej nakłada na organ nadzoru budowlanego prawo budowlane.

Segment małż. Małek (jak i inne w tym samym budynku szeregowym) projektował ten sam projektant, który wprowadził również zmiany do zatwierdzonego projektu. Zmiany te jednakże nie były zgrywane ze zmianami wprowadzonymi do projektów sąsiednich segmentów. Kominy w zatwierdzonym planie były zaprojektowane we wspólnej ścianie pomiędzy segmentem należącym do małż. Małek i sąsiada K. Projektant, wykonując odrębny projekt dla małż. Małek i sąsiada nie wziął pod uwagę wcześniej zaprojektowanych we wspólnej ścianie przewodów kominowych sąsiada K.

Gdy chodził natomiast o piwnice, to wykonany został dodatkowy projekt i zmiana ta została uwzględniona przez organ nadzoru budowlanego w pozwoleniu na budowę. W tym wypadku nie było więc samowoli budowlanej. Piwnice we wszystkich segmentach wykonane są zgodnie z projektem. Zmiany w konstrukcji dachu wykonane zostały w projekcie dodatkowym dla wyrównania wysokości segmentów — i na te zmiany zostało wydane wcześniej pozwolenie na budowę.

Z opinii biegłego, dotyczącej budowy segmentu małż. Małek, na którą powołuje się Ryszard Binkowski wynika, że sporządzona została tylko na podstawie dokumentów przedstawionych przez małż. Małek, bez zapoznania się z całością sprawy w tym — z dokumentacją segmentu sąsiada oraz aktami organu i instancji. Dlatego też wnioski końcowe opinii nie odzwierciedlają całości sprawy. Pozwolenie na budowę to decyzja administracyjna wydawana w trybie określonym w kodeksie postępowania administracyjnego, w oparciu o obowiązujące prawo budowlane. Wstrzymanie robót budowlanych również następuje w tym trybie.

Małż. Małek nie odwołali się od decyzji organu i instancji — wstrzymującej roboty budowlane przy ich segmencie w celu uzupełnienia dokumentacji — do organu II instancji, tj. dyrektora Wydziału Urbanistyki i Architektury Urzędu Miasta Łodzi. Odwołali się natomiast ich sąsiad K., domagając się rozbiórki nadbudowanego piętra.

W toku postępowania odwoławczego dyrektor Wydziału dokonał wizji terenu budowlanego, w celu ustalenia, czy zachodzą przesłanki do nakazania rozbiórki nadbudowanej części segmentu. Rozstrzygając sprawę w II instancji, nie orzekł rozbiórki nadbudowanej części segmentu, utrzymał natomiast zaskarżoną decyzję w mocy, bowiem wydana została zgodnie z prawem. Z kolei te decyzje zaskarżyli do Naczelnego Sądu Administracyjnego w Warszawie zarówno małż. Małek, jak i ich sąsiad K. Sprawa jest w toku. Ale o tym R. Binkowski nie został już poinformowany.

Mgr inż. RYSZARD KRUCIŃSKI

PRYZNAJEMY SIĘ DO BŁĘDÓW I PRZEPRASZAMY!

Nic nie wynika dobrego z dokładnego czytania! Do takiej niezbyt budzącej konkluzji dochodzę coraz częściej przy lekturze swoich lubianych dotąd czasopism i gazet. Przyczyny? Bardzo proszę, niestety, przykładem będą „Odgłosy”.

W numerze 32 z 6 sierpnia 1989 r. zamieszczono fotoreportaż z niezmiernie rzadkiego u nas zjawiska, czyli kolejki. Ale to mniej ważne. Reportaż Grzegorza Gałasińskiego pt. „Niemowle-ta w kolejkę” opatrzone komentarzem (chyba od redakcyjnym bo w liczbie mnogiej): „Obrazki z kolejki po „Bebiko” dedykujemy entuzjastom projektu nowej ustawy o przerywaniu ciąży”. Trudno było zaiste wymyślić głupszy i bardziej denerwujący komentarz! Czy autor, choćby najgorzalszy przeciwnik nowej ustawy pomyślał o tym co pisze? Komentarz do takiego komentarza chyba zbędny. Ale skoro już się zaczęło to proponuję, by fotoreportaż takie kontynuować — trudno niewiele, pewnie wystarczy wyrywać z okien redakcji. Kolejka po chleb, cukier, sól... Natomiast ogromnie byłbym ciekaw komu będą dedykowane te obrazki!

W tym samym numerze w „Kronice” ukazała się wiadomość, że „Biblioteka Narodowa w Krakowie zgromadziła prawie 4 tys. publikacji oficyn niezależnych. Oczekują one obecnie na skatalogowanie”. Dziwić może nieco sam fakt zamieszczenia tego w „Kronice”, która z natury swej jest chyba przeznaczona do odnotowywania mniej czy bardziej ważkich wydarzeń tygodnia, miesiąca. Ta zaś wiadomość, którą epatują się na zasadzie prawie sensacji niektóre gazety, to nie wiadomość tygodnia, miesiąca czy nawet roku! To wieloletnia, żmudna i ryzykowna często praca ludzi, którzy ratowali i ratują to z polskiej kultury, co inni z lubością niszczą. Ale to inna sprawa. Przede wszystkim bowiem warto wiedzieć, publikując taką wiadomość, że poki co, Bibliotekę Narodową w Polsce mamy jedną i miłości się ona od początku swego istnienia, tj. od 1928 r. w Warszawie! Natomiast w Krakowie miłości się, również zasłużona wielce dla polskiej kultury, Biblioteka Jagiellońska! A więc jedynie co się zgadza w podanej wiadomości to to, że obie te Biblioteki (podobnie jak jeszcze parę innych w kraju) gromadzą od lat takie zbiory. Warto na takie drobności też zwracać uwagę. Ludzie naprawdę czytają uważnie. Choćby w kolejce po „Bebiko”!

ANDRZEJ GAWROŃSKI

KTO WINIEN? PAŃSTWO!(?)

Eugeniusz Iwanicki napisał artykuł o mnie, lecz nie skontaktował się ze mną, jak i nie znalazł przyczyny, kto stworzył mi takie warunki, że nie mogę chronić własnych dzieci od niednego życia. Mówi się o nadmiarze opieki, którą stosuje władza państwowa, lecz są to tylko słowa i obietnice. Łatwo czynić mi winną, napisać, że nie pracuję. Proszę o podanie przedsiębiorstwa, które da zatrudnienie kobiecie w ciąży i go-dzić się będzie pięć jedną, a w moim przypadku dwie ciąży.

Jestem uczciwa i nikt mi nie może zarzucić, że nadużywam i korzystam z pomocy socjalnej. Pomoc z opieki ludzkiej otrzymuję, ale nie zawsze ci, którzy faktycznie jej potrzebują. Pro-się i zebrać o taką pomoc nie potrafię.

Określenie przez lekarza, że Mariusz miał krzywicę, która go przeraziła, jest prawdą. Urodził się z krzywicą. E. Iwanicki nie zastanawiał się i nie stawia pytania, jaka jest przyczyna krzy-wicy? Na pewno nie dobrobyt. Skąd Mariusz miał mieć wita-miny, których u mnie nie znalazł, gdyż mój stan zdrowia nie jest lepszy od jego. Przyczyną jest to, że sama sobie od ust odejmuję, aby moje dzieci tego nie odczuły. Dbam, aby nie odczuwały głodu, ale nie mogę zapewnić im składników odży-wczych, których im brakuje, a dla mnie już nie starcza. Otrzy-muję alimenty w wysokości 13 tys. złotych, czy E. Iwanicki zastanawiał się, że starczy to tylko na cztery paczki Milupy? Kto stworzył takie warunki, że nie można takiej odżywki wy-produkować w kraju za niższą cenę? Dla pierwszego syna kasz-ki takie były w sprzedaży i stać mnie było kupić, a dziś na-wet nie mogę utrzymać czystości, gdyż dzieci się brudzą, a w sprzedaży jest tylko mydło po 500 zł, które nawet na tydzień nie wystarcza dla pięciorga dzieci.

Ostatnia kadencja ministrów przemysłu spożywczego i lek-kiego jak również i poprzedni ministrowie sprzed dwu lat nie produkują rzeczy, od których stan zdrowia narodu byłby lep-szy. Wiadomo, że jest coraz to gorzej — więc po co zadawać głupie pytanie — „Czy Mariusz musiał umrzeć?”. W takim sta-nie zdrowia co Mariusz, jestem ja. Dlaczego ja będę musiała wcześniej umrzeć, takiego pytania Eugeniusz Iwanicki nie za-daje, bo mnie nawet nie widział.

Czy o poprawę zdrowia narodu należy dbać? Są dwie sprze-czne opinie służby zdrowia. Z artykułu tego dowiedziałam się nazwiska ofiarnej, rozumnej pielęgniarki środowiskowej Haliny Bednarek, która sumiennie wypełnia swoje obowiązki już od dwu lat, a ja nawet nie znam jej nazwiska. W tym arty-kule dowiedziałam się również nazwiska drugiej pielęgniarki Teresy Urbanek, która ma sprzeczną opinię. Była tylko raz i wystawiła mi taką opinię jak Eugeniusz Iwanicki. Stworzono mi taką barierę, abym żadnej pomocy nie otrzymała. Najlepiej zrobić mi nie winną, bo jestem biedna i nie stać mnie będzie na odwoływania. Dlaczego Teresa Urbanek nie była także by-stra, kiedy była w „obstawie”, aby zwrócić uwagę lekarce, żeby chociaż pozostawiła receptę na witaminę przeciwkrwotoczną lub odżywkę. Lekarz już wtedy widział jak wątłe, małe i słabe jest dziecko. Dlaczego nie było żadnej reakcji, ani u lekarzki, jak i w „obstawie”? Czy tak słabe dziecko miało siłę walczyć z obustronnym zapaleniem płuc?

Krystyna Łukasik w izbie przyjęć poczuła ode mnie oddech chemiczny. Wówczas sama zażądała pobrania krwi do ana-lizy. Nie poczuwałam się i byłam pewna wyniku na alkohol. Dlaczego Eugeniusz Iwanicki nie podaje wyniku analizy, lecz pisze o szczerstwie!

Dziecko było 10 dni w szpitalu i nie potrafili uratować mi syna. Czy za bezradność służby zdrowia ja mam ponosić kon-sekwencje? Ja nie mogę liczyć na pomoc ministrów, jak i le-karzy, którzy raczej oczekują sami pomocy od pacjentów, ale od mojej biedy raczej oczekiwać nie mogą niczego. Nie chodzi-lam do poradni, bo dziecko nie chorowało, a kiedy po raz pierwszy zachorowało nie miało siły, aby walczyć o życie. By-lam wyczerpana po urodzeniu poprzedniego dziecka. Zmuszona byłam przestać pracować. Urodziłam następnie, gdyż nie mia-łam ubezpieczenia, a na usunięcie ciąży nie było mnie stać. Urodziłam sama tak jak i poprzednie, bez pomocy fachowej. Poza Haliną Bednarek i położną nikt nie służył mi radą. Kiedy dziecko zmarło, lekarz oświadczył mi, że dziecko zabrane jest na sądową sekcję zwłok — nie było go już w szpitalu.

Wyjaśniając tylko rażące oszczerstwa, czuję się obrażona. Jak można coś takiego publikować bez znajomości i kontaktu z tym, co nazywa się domem rodzinnym? Wychowując dzieci na uczci-wych obywateli, a spotykam się z takimi jednostkami, które pi-szą te oszczerstwa, żyją z mojej krzywdy. Placi im się za to!

Łódź, 8.VII.1989 r.

KRYSTYNA G.

Krystyna G. czuje się skrzywdzona moim artykułem traktu-jącym o śmierci jej synka Mariusza. Obwinia także władze państwowe i służbę zdrowia o to, że jej życie ułożyło się tak a nie inaczej. Najłatwiej przerzucić winę za poniesione klęki na innych. Jednakże Krystyna G. zapomina napisać, że to przecież przeciwko niej Prokurator Rejonowy dla Dzielnicy Łódź-Górna wszczął postępowanie na wniosek lekarza ze szpi-tala im. Janusza Korczaka. To przeciwko niej trwa dochodze-nie i świadkami w sprawie będą właśnie pracownicy służby zdrowia, którzy sprawę znają lepiej ode mnie (mnie jedynie udzielił niezbędnych dla napisania artykułu wyjaśnień i in-formacji). Pisząc swój artykuł uzyskałem wgląd w akta proku-ratorskie oraz aprobatę prokuratury na zajęcie się sprawą śmierci Mariusza G. Jestem także gotów — jeśli sprawa Kry-styny G. znajdzie się przed sądem — zdać relację z przebiegu rozprawy.

EUGENIUSZ IWANICKI

WIELKIE NIESZCZĘŚCIE POCZTY!

Nawiązując do sprawozdania z dyżuru reportera z 3 sierp-nia 1989 roku zamieszczonego 13.08.89 r. Dyrekcja Wojewódzka PPTT uprzejmie wyjaśnia, że uwagi pana Andrzeja S. są słusz-ne i uzasadnione, dlatego trudno tu prowadzić polemikę i nie zgadzać się z faktami.

Chcemy jednak poinformować pana Andrzeja S., że przy 50-procentowych brakach kadrowych nie można dobrze funk-cjonować, a doręczyciela czy kasjerki nie zastąpi maszyna i nie dostarczy do domów adresatów przesyłek czy przekazów emerytalnych. Stosowane doraźne środki jak: doręczanie prze-syłek przez młodzież z OHP, studentów czy młodzież szkolną nie rozwiązuje problemu. Placimy już po 60 zł za każdy dorę-żony przekaz, zatrudniamy każdego chętnego do pracy, jednak 10 osób nie zastąpi 100 doręczycieli. Zostaje tylko wydawanie tych przesyłek w urzędach i to w tych, gdzie jeszcze są pra-cownicy. Jeżeli nie znajdują się środki na godziwą zapłatę pra-cowników, to kryzys na poczęcie będzie się pogłębiał.

Pocztą nie musi zwalniać ani dyrektorów, ani nauczelników czy kierowników, zwalniają się sami i to w większości po 3 razy w roku i to jest właśnie wielkie nieszczęście poczty.

Z-ca dyrektora
mgr WŁADYSŁAW OLCZAK

ELEKTROWNIA BEŁCHATÓW

z siedzibą w ROGOWCU
Przyjmie do pracy w zawodach:

- ▲ INŻYNIER (TECHNIK) — konstruktor oprzyrządowania technologicznego produkcji warsztatowej,
- ▲ INŻYNIER (TECHNIK) — technolog obróbki skrawaniem,
- ▲ INŻYNIER (TECHNIK) — ds. technologicznych i normowania pracy

o r a z

- ▲ ENERGETYKÓW z wykształceniem średnim lub zasadniczym do pracy w systemie 4-brygadowym,
- ▲ MURARZY KOTŁOWYCH,
- ▲ MONTERÓW IZOLACJI TERMICZNEJ,
- ▲ SZKLARZY
- ▲ MONTERÓW SPAWACZY,
- ▲ ABSOLWENTÓW SZKÓŁ ZAWODOWYCH I ŚREDNICH o kierunku łączności lub elektronika.

Przedsiębiorstwo zapewnia:
♦ konkurencyjne płace wg zakładowego systemu wynagrodzeń,
♦ dodatek bełchatowski,
♦ zniżkę w opłatach za energię elektryczną i szeroki wachlarz świadczeń socjalnych.
Informacji udziela Dział Kadr Elektrowni — tel. 515-61 lub na miejscu. Dojazd z Bełchatowa autobusem spod Hotelu „Energetyk”, godz.: 8.57, 10.57, 12.07, 13.18.

5418/K

PRZEDSIĘBIORSTWO USŁUGOWO-HANDLOWE „LIDER”

w Gdańsku

OFERUJE

jednostkom gospodarki uspołecznionej

wiaty magazynowe
szafy bhp
grzejniki Faviera
regaly magazynowe
kraty pomostowe

Zamówienia, w godz. od 8 do 14, przyjmuje Biuro Handlowe PUH „LIDER”, w Gdańsku, ul. Wały Piastowskie 1, tel. 374-636, tlx 0512474 do 76.

5847/K



UNITRA
FONICA

Łódzkie Zakłady Radiowe

Łódź ul. Wróblewskiego 12 20

A T R U D N I A

natomiast pracowników:

- ▲ ŚLUSARZY
- ▲ TOKARZY
- ▲ SZLIFIERZY
- ▲ FREZERÓW
- ▲ LAKIERNIKÓW
- ▲ GALWANIZERÓW
- ▲ PRASERÓW TWORZYW SZTUCZNYCH
- ▲ ELEKTROMONTERÓW
- ▲ PALACZY C.O.
- ▲ KONTROLERÓW NARZĘDZI
- ▲ ROBOTNIKÓW MAGAZYNU
- ▲ WARTOWNIKÓW
- ▲ KONTROLERÓW JAKOŚCI
- ▲ KONSTRUKTORÓW
- ▲ TECHNOLOGÓW

Zakład zapewnia ciekawą pracę, atrakcyjne warunki placowe, ponadto wypłacamy nagrody jubileuszowe, dodatki stażowe, ekwiwalent za deputat węglowy, nagrody z zysku i eksportowe.

Zakład nie zatrudnia pracowników po samowolnym porzuceniu pracy. Informacji udziela Dział Kadr i Szkolenia Zawodowego, ul. Wróblewskiego nr 12/20, Łódź, tel. 84-66-18, pokój 125, w godz. 9—12.

5713-K

ROLNICZA SPÓŁDZIELNIA PRODUKCYJNA

„DOBRA - NOWINY”

95-009 Dobra, gm. Stryków

ogłasza

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż n.w. sprzętu:

1. Kabina nowa do sam. m-ki Jelcz 315
cena wywoławcza 3.500.000,—
2. Ciągnik Ursus C-360 (w podzespołach)
cena wywoławcza 1.200.000,—
3. Kosiarka rotacyjna Z-036
cena wywoławcza 120.000,—
4. Pług 3-skibowy produkcji ZSRR
cena wywoławcza 15.000,—

Przetarg odbędzie się w dniu 19 września br. o godzinie 12, w biurze RSP. Wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej należy wpłacić w kasie spółdzielni, najpóźniej do godziny 11, w dniu przetargu. Zastrzega się prawo odwołania przetargu bez podania przyczyn.

2934/K



UZUM „MARKUS” SA

ul. Kraszewskiego 22, 93-161 Łódź, tel. 43-39-94

ogłaszają

ZAPISY NA KURSY:

- ▲ JEZYKÓW OBCYCH: ★ angielskiego ★ niemieckiego ★ francuskiego ★ rosyjskiego, prowadzonych metodą tradycyjną i w grupach eksperymentalnych.
- Przyjmujemy zlecenia także od przedsiębiorstw, szkół, przedszkoli.
- ▲ PRZYGOTOWAWCZE na wyższe uczelnie z przedmiotów egzaminacyjnych.

Informacji udzielają pracownicy Zakładu Usług Marketingowych, telefon 74-91-85.

Zapraszamy do współpracy nauczycieli, wykładowców, lektorów.

5846/K

OGŁOSZENIA DROBNE

NAUKA-PRACA

MATEMATYKA 78-52-85 Balcererek. 47555-g

MEDYCZNE

USG — serca, brzucha, ciąży. Test zagrożenia zawałem. Specjaliści „Damed”, 57-79-44, Julianowska 20. 45344-g

USŁUGI

WYKONUJEMY sitodruk, wykroje, metraż, obrusy, emble-

maty, flokowanie. Przyjmujemy zlecenia państwowe i spółdzielcze, Rzgów, ul. Tuszyńska 96, tel. 14-12-53. Musierowicz i S-ka. 46816-g

ZE SLAJDÓW — duplikaty, odbitki na materiałach zachodnich, wykonuje „STUDIUM” Łódź, Wacława 9 (od Tatrzańskie) Ryceł. 47509-g

VIDEOFILMOWANIE 86-15-61 Bartyzel. 47841-g

WYGODNA podróż, tani nocleg zapewnią fotele rozkładane firmy Tobik, ul. Kolumny 390. 46617-g

WEEKENDY autokarowe Berlin Zach. 40.800,— plus 3 DM

„SARTOUR” Sienkiewicza 101/109 tel. 36-31-54 (11—17). 42492-g

WIEDŃ 44.800,— plus 4 USA „SARTOUR” 36-31-54. 42494-g

HAMBURG — trzy dni 60.000,— plus 50 DM „SARTOUR” — 36-31-54. 42496-g

LOKALE

POSIADAM własnościowy lokal (110 m. kw. śródmieście, oficyna, parter) z pełnym wyposażeniem i telefonem, dużą gotówkę w tym także dewizową. Oczekuję propozycji zapewnających szybki obrót kapitału, dowolna branża. Szczegółowe oferty „47461” Biuro Ogłoszeń, Piotrkowska 96.

Młody związek Szandlerowskiego i kruczwioskiej Zydówki Heleny Beatus, zrazu duchowy, potem pełen młotowej namietności, datuje się od pierwszego spotkania w malarskiej mansardzie przyjaciela w 1903 r. Pani Beatus, z domu Weinstockówna, czy też Wiśniewska, jak twierdzą niektórzy, była żoną bogatego handlarza węgla rodem z Kalisza. Z nieznanym bliżej powodów przeszła na katolicyzm i z wyjątkiem świeżych neofitów demonstracyjnie okazywała swą gorliwość w kwestiach wiary. Wszelkierne wykształcenie i czar osobisty zjednały jej przyjaźń cyganerii artystycznej, w której kręgach bywał też i ksiądz Antoni, mianowany właśnie proboszczem w Kampinosie.

Beatusowa w powieści „Zachód”, wydanej pod pseudonimem Melitta, tak scharakteryzowała osobowość Szandlerowskiego: „Niestety ciekawa jednostka. Ma umysł bystry, a język cięty. Jest postrachem głupich, a pono głupich jest więcej niż po- towa rodzaju ludzkiego. (...) Powiada, że ma wiele ambicji. Jedną do dziś nie dobił się stanowiska ani jako kapłan, ani jako artysta, choć inni mniej godni, wybili się (...) Jego energia ożywa, gdy chodzi o sprawy wielkie, małymi gardzi i pomija. Oddaje się wszystkim — znajomym, przyjaciółom, rodzinie. Jego ruchliwa natura wszędzie i zawsze czuje się dobrze.”

Nie dziw więc, że Szandlerowski oddał się duszą i ciałem pięknej neoficie, uznając ją za „poziemskie swoje przeznaczenie”, ona zaś, czując się niekochanym męża zamieszkała z córeczką Nusią blisko księdza, utwierdzając go zresztą w wierności obowiązkowi kapłana. W przepięknym zbiorze listów miłosnych Szandlerowskiego, wydanych przez nią po śmierci ukochanego pt. „Confiteor”, czytamy wyznania pulsujące tęsknotą i namietnością: „Drogi mój — i uskrzesz me ku życiu, którego nie znam, o jakim nie miałem pojęcia, że istnieje nawet może... Kocham Cię jak nieśmiertelność mego ducha, jak niezgłębioną tajemnicę życia, jak wielkie „stań się”, co padło mi na dno duszy. Przyjaciółko moja... czarna gołębia moja... Ja Cię uśpię porucę myślą moją, myślą utęsknioną, czystą, jak te drogi, którymi popłynę...”

W maju 1907 r. Szandlerowski wystawił swój poemat dramatyczny „Triumf”, zrazu w Łodzi (13 maja), a w kilka dni później w Warszawie (19 maja). W następnym roku poeta spotkał się z atakami krytyki literackiej, choć o jej życzliwość gorliwie zabiegał. Do Zenona Przemyskiego (Miriana) pisał: „Proszę — jako o zaszczyt dla mojej biednej sztuki — aby Sz. Pan był łaskaw być na „Paraklecie” (rekwizyt w Bibliotece Narodowej, sygn. 2862). Najbliżsi i przyjaciele zafrasowani czytali recenzje, wśród których nie brakowało obzędliwych insynuacji pod adresem poety: „Przybyło kilka krytyk o „Paraklecie”. „Rola” obryzgała błotem. A Lorentowicz siłił się na niezwykłe określenia, ogólnie jednak, przykry ton całej krytyki”. Gdzienigdzie trafiały się jednak i takie zdania: „W poezji polskiej mało jest tak pięknych, tak zdumiewających ogromem fantazji obrazów”.

Z różnych szuflad

Czarna gołębia

Tymczasem Helena Beatus, Bożenna z miłosnych listów księdza-poety, kocha Antoniego coraz bardziej: „Kocham Cię jak własną duszę, jak własne łamane się, jak własne wioły (...). Gdy przyjdzieś być Ci o Duchu opowiadać, o Duchu miłosnym. Szandlerowski odpowiada w następnym liście „Przyjacie, poczekaj... O niczym nie myśl, jeno o Bogu i szczęściu naszym, w nie nie patr. tylko w nasze własne spojrzenie, niczym nie żyj przez wielkiego cudu, który nam kazano spełnić na ziemi.”

Jesienią Bożenna wróciła z krótkotrwałej kuracji w Nałęczowie, lekarze zalecili wyjazd do słonecznej Italii. Przez Wenecję, Florencję i Rzym udała się do Neapolu, gdzie oczekiwała na przyjaźń kochanka, który również przygotowywał się do wyjazdu studyjnego do Włoch, którego celem miało być studium archeologiczne na temat mozaik jako chrześcijańskiej sztuki bazylikowej. Beatusowa z córeczką znalazła się w Neapolu jesienią 1908 r. Po świętach Bożego Narodzenia poczuła lekkie wstrząsy. W tej właśnie chwili gigantyczne trzęsienie ziemi doszczętnie zniszczyło Messynę. Na przedwiośnie 1909 r. Szandlerowski stanął przed hotelikiem zamieszkiwanym przez ukochaną, po czym niebawem cała trójka znalazła się na okręcie płynącym z Neapolu do Palermo na Sycylię. 17 maja 1909 r. poeta pisał do Władysława Rabskiego (rekwizyt BN, sygn. 2731): „Siedzę na Sycylii, bo praca artystyczna całkowicie mnie tu pochłania. O Messynie nie piszę, tu groza mrozi wszelkie słowa (...). Po zebraniu materiałów na Sycylii wracam na wielką wóskę i rozpoczynam pracę”. Okazało się jednak wkrótce, że po ukończeniu pracy we Włoszech należało się zatrzymać w Paryżu, gdzie po paru godzinach dziennie oboje spędzali czas w źle ogrzewanych czytelniach bibliotecznych. Wreszcie 5 kwietnia 1910 r. o północy wrócili do Warszawy, oczekiwani na stacji przez rodzinę księdza.

Tegoż dnia postanowiono na naradzie rodzinnej, że Helena uda się na pobyty do Grochowa koło Kutna, wyznaczoną księdzu jako miejsce urzędowania. Miała tam odgrywać przed ludźmi rolę siostry proboszcza, zaś mała Nusia występować w charakterze wnuczki państwa Szandlerowskich. Krótkie chwile szczęścia sąsiadowały z upokorzeniem ze strony siostr księdza nienawidzących bratowej kochanki.

Nagle w grudniu 1910 r. Szandlerowski zachorował na różę. W rannę po zabiegu operacyjnym wdała się infekcja. Poeta konał długo, przy trzęku chorego siedziała w niemieckiej rozpaczy umłowana Bożenna. Wreszcie przyszła chwila zapamiętana przez nią do końca jej niedługiego również życia: „Lectuchno westchnię trzy razy usta złoty jakby go pieszczot, wargi wydobyły dźwięk pocałunku, którego Teo, z zimną uwagą i przytomnością, naliczyła dzień”. Był może właśnie wtedy, w progu przejścia na drugą stronę życia wspominał Szandlerowski treść pierwszego listu do umiłowanej: „A teraz złotą chryzantemę uświeć w noc swoich włosów dla mnie, jak wtedy... Taka będę Cię widział, gdy do grobu zstępować będę... Obraz ten pontosę ze sobą w wieczność... Czarna gołębia moja...”

Pogrzeb młodego księdza odbył się 12 stycznia 1911 r. na warszawskich Powązkach w obecności licznie zgromadzonego duchowieństwa rodziny zmarłego i przyjaciół poety. Zabrał tylko przedstawiciel wyższej hierarchii kościelnej, choć dwaj kanonicy Antoni Szlagowski, późniejszy arcybiskup, oraz Zygmunt Chelmiński wierni przyjaciel i entuzjasta twórczości Szandlerowskiego, deklaruowali swą chęć uczestnictwa w egzekwacjach pogrzebowych.

Bohaterka romansu Helena Beatusowa niemal natychmiast przystąpiła do oceniania spuścizny literackiej poety. Jej komentarze ukazywały się pisma Szandlerowskiego, poprzedzone przedmową Józefa Jankowskiego. Wydrukowała je firma Ksawerego Trebińskiego, ozdobił zaś wypróbowany przyjaciel Antoni Gawiński. W 1910 r. Helena wydała pod pseudonimem Melitta autobiograficzną powieść „Zachód”, którą czytać należy koniecznie wraz z tomem „Confiteor”.

Zmarła w 1916 r., zastraszając w ostatniej woli złożenie swego ciała nie opołaż zwiłk ukochanego. Na jej piersi spoczęło ogniwo z ołowienia i krucyfiks jako symbol miłości doczesnej sięgającej poza grób. Tę samą talizmanicę złożyła wcześniej na piersiach kochanka. Może czasem nad groby Heloizy i Abelarda warszawskich Powązek przylatuje czarna gołębia.

ANDRZEJ KEMPA

1

Lewym okiem

Siedemnasty września

Ostatni minister spraw zagranicznych II Rzeczypospolitej Polskiej pułkownik Józef Beck spisał swe wspomnienia przebywania w obozie internowanych w Rumunii podczas wojny. Wspomnienia te, pisane po francusku ukazały się, w 1943 roku w Szwajcarii, a po wojnie w roku 1955 wydał je „Czytelnik” w opracowaniu i z komentarzem Grzegorza Jaszunskiego. Opracowanie i komentarz były oczywiście takie, żeby wspomnienia Józefa Becka mogły być rozumiane wyłącznie tak, jak tego wymagała ówczesna prawda czy wydumana „acja stanu”.

Pamiętniki z 1955 roku kończyły się na dniu 16 września 1939 roku. Zakoczył je komentarz Grzegorza Jaszunskiego: „Związek Radziecki przestraszał ścisłej neutralności w polsko-niemieckim konflikcie zbrojnym. Ale gdy hitlerowcy rozbili wojsko polskie zajęli większą część Polski i zbliżali się do granicy radzieckiej, rząd ZSRR musiał pokrzyknąć ich plany zająć zachodnią Ukrainę i Białoruś. Dnia 17 września Armia Radziecka otrzymała rozkaz wkroczenia do tych obszarów, aby uchronić ich ludność przed groźbą jej okupacji faszystowską i stworzyć na tych obszarach terytorium, które powstrzymałyby armie hitlerowskie w ich dalszym marszu na wschód. Przebieg drugiej wojny światowej wykazał, że miało to decydujące znaczenie dla przygotowań wojennych i strategii wojennej ZSRR, która prowadziła do rozgromienia hitlerizmu i wyzwolenia Polski”.

Tu mam ochotę przypomnieć, że bodaj w 1943 roku w amerykańskiej prasie polonijnej ukazało się kilka artykułów suponujących, że Niemcy poszukują chętnych do powołania marionetkowego rządu polskiego i że jednym z kandydatów na premiera takiego rządu jest upatrzony przez nich Józef Beck. Ale to ciekawostka i niech spoczywa w spokoju w lamusie wątków chybionych.

Ciekawym być może jak odbił się w świadomości, niektórych wybitnych osób dzień 17 września 1939 r. czyli dzień przekroczenia granicy polskiej przez Armię Czerwoną. Zatrzymajmy do „Dzienników czasu wojny” Zofii Nałkowskiej.

„Dziś i ja wybrałam się do tego najbliższego kościoła, pod którym gnieździ się dwór. Kościół nieduży, barokowy, z siedemnastego wieku. Z ogrodu na dziedzińcu kościelny, oddzielony murem prowadzi prześliczna barokowa brama z ażurowymi kariatydami z kutego żelaza, od strony dworu prawie niewidoczna w gałęziach drzew. W kościele całe towarzystwo ze dworu oraz znajoma pani starszyna Raczańska, rezydująca w sąsiednim Sarnowie z córeczką, gdy mąż uciekł samochodem dalek”.

Mamy tu zachwyty nad żelazną bramą ogrodową, snobistyczne uwagi o pani starszynie i ani słowa o straszałej katastrofie kraju. Dopiero 18 września 1939 r. zapisuje Zofia Nałkowska jakby mimochodem:

„Wczorajsza ostatnia wiadomość (z francuskiego radia), że armia sowiecka wkroczyła na terytorium Polski. (...) Po zamknięciu radia siedzieli wszyscy bez ruchu, w milczeniu — ludzie obcy sobie nawzajem, pogrążeni w tej samej rozpaczy. Niemcy, bolszewicy, wspólna granica między nimi. Wiele słów zagrzewające — tak niedawne! — odezwy, plakaty — pewność własnych sił — wszystko było aż takim złudzeniem!”

Melchior Wańkowicz gnał wówczas wszystkimi możliwymi sposobami na południowy wschód, chcąc przedrzeć się do Rumunii i uciec przed pogonią niemiecką. Będąc w Lublinie usłyszał rozgłoszenie niemieckie, która nadawała: „My wiemy, że pan jest w Lublinie, panie Wańkowicz, ale pan nam nie ucieknie”.

Pamiętne dni w relacji Melchiora Wańkowicza w książce

pt. „Od Stołpców po Kalr” wygładają tak:

„Kiedy znajomy oficer artylerii przeciwlotniczej informuje, że wójt gminy Wiśniewiec otrzymał z powiatu wiadomość, że dziś rano wchodzi bolszewicy, których należy powitać z czcią — śmieję się z jeszcze jednej plotki”.

Po niewielu godzinach „poczęło się wzajemne zaznajamianie. Jeżdżący na koniach poplecy ciekawością dowiedzenia się jak też wyglądają ludzie z tej Polski. Rozpytywali chętnie o to, jakie są u nas porządki, czy oficerowie nie biją, czy robotnik może chodzić do kina czy ma urlopy”.

— O! zobaczcie, jak wam będzie dobrze, wybieracie sobie sowicie — samorząd, lokalny, będziecie żyli, pracowali. Myśm przyszli was uwolnić od panów i od osadników — psów przekleństw

Teraz mówi się o tym wszystkim jak o białych kartkach, które dopiero trzeba zapisać. Dla mnie to nie są i nigdy nie były białe kartki. Dość pamiętam, doś się nasłuchałem a i naczytałem też, aby mieć wyrobiony sąd o tamtych czasach. Czy to znaczy, że nie należy podejmować akcji wypelniania białych kart historii? Ale, nie, przeciwnie. Piszcie, piszcie jak najwięcej, niech cała prawda dotrze wszędzie i do wszystkich pokoleń.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2

Wniosków nie będzie

W tygodniku „Solidarność” Jerzy Jedlicki opisał zabawę swojej wnuczki i syna sąsiadów. Jak wyglądała owa zabawa? Otóż, dzieci po prostu kłóciły się zarcuając sobie nawzajem kłamstwem. Kiedy autor felietonu postanowił w końcu ingerować (był także ciekaw, co dzieci robią) okazało się, że bawią się w sejm.

Gdy ja byłem małym chłopcem z moimi rówieśnikami bawiliśmy się w wojnę, kowbojów, Indian, czasem w policjantów i złodziei. Czasem wówczas były bardzo nudne i w otaczającej nas rzeczywistości właściwie nie się nie działo. Walka o władzę w kierownictwie jednej rządzącej partii była skrajnie ukrywana przed ogółem. Na zewnątrz wszystko oczywiście było w jak najlepszym porządku.

Potem, na pierwszych latach studiów, a było to pod koniec lat siedemdziesiątych, jedna z moich koleżanek często powtarzała, że chciałaby żyć w historycznych czasach, to znaczy w takich czasach, żeby coś się działo, a najlepiej jak najwięcej. Teraz, kiedy mamy wreszcie takie czasy, koleżanka, która prowadzi dom twierdzi, że świetnie zrozumiała, dlaczego powiedzenie „obużył w ciekawych czasach” jest przekleństwem.

Wróćmy jednak do dziecięcych zabaw. Podczas ostatniej niedzieli udało mi się usłyszeć i zobaczyć, w co bawią się nasze dzieci. Słońce dość mocno przygrzewało. Wyszędem na balkon, by zacerpnąć „świeżego” łódzkiego powietrza. Pod balkonem na niedużym skwerku bawiła się gromadka dzieci. Nagle usłyszałem, jak córka moich sąsiadów, bardzo reżolutna dziewczynka, która w tym roku idzie do pierwszej klasy, organizuje zabawę.

— Słuchajcie — mówi. — Pobawimy się w kolejkę po mięso. Biegające dzieci zatrzymały się, by posłuchać, na czym ma ta nowa zabawa polegać.

— Ja biegnę pierwsza — wyjaśnia dalej. — A wy za mną. Kiedy się zatrzymam i krzyknę: kolejkę po mięso! musicie wszyscy ustawić się za mną jeden za drugim, kto w kolejkę stanie ostatni, będzie łuntykiem.

Myślałem, że się przesłyszałem, ale nie, dziewczynka jeszcze raz powtórza zasady zabawy (nie wszyscy zrozumieeli).

— I co ten łuntyk będzie robił? — pyta jakiś brzdąc.

— On zamyka oczy, wycią-

ga przed siebie ręce i próbuje nas złapać — mówi dziewczynka i spogląda dokoła bardzo dumna ze swojego pomysłu. — Ja już się w to bawiłam, to fajna zabawa — dodaje jeszcze. — Uwaga, zaczynamy!

Dzieci rozbiegają się. Po okrzyku: — kolejkę po mięso! — ustawiają się w równym rzędzie. Ostatni jest najmniejszy chłopak, który zamyka oczy i próbuje kogoś złapać. Niestety nie udaje mu się. Następnym razem znowu ostatni jest ten sam chłopak i ponownie nikt go nie może złapać. Zabawa kończy się więc, bo staje się nudna.

Tego samego dnia, w jakąś godzinę później, wybrałem się z moim trzypięcioletnim synem do parku. I tam byłem świadkiem kolejnej interesującej zabawy. Czterech chłopców pięcioletnich siedziało na drabinie. Jeden z nich miał na ramieniu zawieszoną chusteczkę do nosa. Grupa dzieci stała wokół, ale ci, którzy siedzieli na drabinie nikt go do niej nie dopuszczali.

Ten z przewiazaną chusteczką mówił:

— Nikt nie ma prawa tutaj wejść... Jesteśmy komitetem strajkowym i ogłosiłmy strajk okupacyjny. Tylko my możemy być na drabinie... reszta niech się odsunie.

— Weźcie mnie też do tego waszego komitetu — prosi jakiś dziewczynka.

— Mówi nie ma — mówi jeden z chłopaków. — My tu nikogo nie wpuszczymy, a już na pewno nie chcemy żadnej dziewczyny!

Mój syn także chce bawić się na drabinie. Postanowiłem więc wkroczyć do akcji.

— A może przedstawicie jakieś zdania. Przedyskutujemy je i spróbujemy się jakoś dogadać — proponuję.

— My chcemy być tylko na drabinie i koniec — mówi ten z chusteczką.

Na skutek moich nacisków chłopcy zmuszeni byli jednak ustąpić. Przenoszą się na stojące nie opodal huśtawki. Mamy dość wojowniczo. Reszta dzieci dopadła do drabinek i jedno przekrzykując drugie, wrzeszczyli się: strajki strajki! My tu teraz strajkujemy!

Powiększył się zakres dziecięcych zabaw, prawda? A wnioski? Wniosków dzisiaj nie będzie!

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

3

Pod prąd

Idzie stare!

Uklon jest pozdrowieniem, ale i wyrazem szacunku. Dlatego młodszy powinien klania się starszemu, mężczyzna kobiecie, a pracownik (-ica) zwierzchnikowi — i to nawet wtedy, gdy ten ma o połowę mniej lat i chodzi wyłącznie w spodniach, co akurat w naszym kraju świadczy, iż należy on do brzydszej połowy rodzaju ludzkiego. Przede wszystkim jednak obowiązują zasady, że grzeczniejszy, bardziej kulturalny klania się gorzej wychowanemu — paradoksalnie również przez szacunek, choć już może nie tyle dla tego, co dla samego siebie, jako że uklon nic nie kosztuje, a podnosi wartość człowieka.

Tyle teorii. W praktyce — jak wiadomo — bywa różnie.

Na ogół mniej ważny klania się ważniejszemu, czyli akurat w naszym kraju na przykład: inżynier robotnikowi, emerytowanej lekarka początkującemu hydraulikowi, profesorowi uniwersytetu motorniczemu, nauczycielka córce badiacza, dziennikarz bufetowej, a socjolog szwaczce.

Ale nie tylko. Często także: dyrektor sekretarzowi, sędzia policjantowi, lokator dozorczy, literat księgarzowi... Bo nie zawsze ważny ten, który ma pieniądze. Każdy wie, że liczą się też doświadczenia, możliwości. Dlatego sprzedawczyni z mięsnego ważniejsza jest dziś od właściciela budki z zieloną, a prezes spółdzielni od — powiedzmy — prezesa Stowarzyszenia Elektryków Polskich.

Ale nie tylko. Zdarza się bowiem również, że dyrektor klania się sprzątacze (żeby nie odeszła, bo druga za takie pieniądze nie znajdzie), ordynator w szpitalu salowej (jak wyżej), a nawet minister całej załóżce nierentownego przedsiębiorstwa państwowego, gdyż jest ono jedynym producentem i gdyby na przykład musiała ogłosić upadłość, polska gospodarka zawaliłaby się do reszty.

Oczywiście nie zawsze tak bywało. Należę do pokolenia, które pamięta jeszcze czasy, gdy sklepikarz siłą prawie wciągnął do siebie ludzi z ulicy, szatniarz w restauracji bez słowa podawał każdemu gościowi palto, dozorca całował rączki lokatorowi z trzeciego piętra, a listonosz za każdym razem zdejmował czapkę przed doktorem, który miał zmęczonych za granicą, gdzie — kiedy nieraz wyjeżdżał — nie musiał jakoś pracować na budowie, czy przy zbiorze winogron.

Rzecz jasna, były to czasy, które nie wszystkim mogły się podobać. Nie wszystkie też ukłony składano szczerze i bez cienia strachu w oczach, a niejedną „pan dziedzic”, czy „prezes” w rzeczywistości mało różnił się swymi manierami od parobka, albo pokojówki, którą w tajemnicy przed „panią prezesową” odwiedzał nocą w sypialni. Słowem nie było to wcale aż tak bardzo demokratyczne *savoir-vivre*, jak chcą dziś niektórzy zwolennicy Józefa P. lub Romana D. Generalnie jednak — trzeba przyznać — szczerze tak zwanej drabiny społecznej były na swoim miejscu i nie zdarzało się raczej, aby ktoś poganiał batem z kóz za przęzonego do wozu woźnicę, a krowa w oborze wyznaczała gospodarzowi godziny dojenia.

I oto, proszę Państwa, po ponad czterdziestu latach eksperymentów społecznych i gospodarczych powoli zaczyna wracać do nas stare. Powoli zaczynamy zdejmować buty z rak i znów zakładając je na nogi, czyli tam, gdzie przez cały czas powinny były być. Takie przynajmniej odnośnie wrażenie po objerzeniu w telewizji, jak nowo wybrany premier nisko uklonił się Sejmowi. Po raz pierwszy w naszej powojennej historii, co choć niektórzy uważają jedynie za drobny i mało znaczący gest, ma jednak — moim zdaniem — swoje znaczenie.

Pozostaje pytanie: kiedy za przykładem Tadeusza Mazowieckiego pójdą inni?

JÓZEF RETMAN

P.S. Przy okazji chciałbym zdemontować krzącająca w Łodzi plotkę, że jakoby felietonista „Odeku”, Józef Retman umarł. Był jakiś czas temu śmiertelnie chory, co wielu naszych Czytelników tłumaczyło sobie jego nieobecność na łamach jako widać, na szczęście była to tylko plotka, choć muszę przyznać, że nie porównała — jak zwykle, zła prawda — z samego pisaną felietonów wyżej. Wreszcie dziś się nie da.

J.R.

FABRYKA DYWANÓW
„DYWILAN”
Z A T R U D N I
DZIEWCZĘTA I CHŁOPCÓW
do nauki w zawodzie:
♦ Tkacz dywanów
♦ Przadka
NAUKA TRWA 6 MIESIĘCY.
Warunki przyjęcia:
▲ ukończone 17 lat
▲ ukończona szkoła podstawowa
▲ dobry stan zdrowia.
Chętnych prosimy o zgłoszenie się do zakładu.
ADRES:
FABRYKA DYWANÓW „DYWILAN”
w Łodzi, ul. Dąbrowskiego 247/249
Dz. Spraw Osobowych, p. I, pokój 103, tel. 43-11-04.
5650/K

NR 37 (1641), 10 WRZEŚNIA 1989 R.

ODGŁOSY 15

Superagent Tambor

(7)

JERZY JESIONOWSKI

— To nie była figura retoryczna — goście rzeczywiście zawłogotniacy oczy. Po otwarciu ich chusteczką spytał zalekniotnym głosem:

— Ale nie przyjął pan, mam nadzieję, tych pieniędzy?

— Oczywiście, że nie.

— Chwała Bogu... To byłoby już ostatnie dno. No cóż, bardzo przepraszam. Trudno o ten gorszący incydent obwiniać pana. Dziewczęta się zbiesiły. Zaniebadałem, jak z tego wynika, robotę wychowawczą. Będę musiał przeprowadzić z nimi surowe rekolekcje.

— Proszę nie przesadzić z tą surowością, nie usuwać ze służby. Kadre ma pan efektywne, jak rzadko.

— Ale morale, morale! O to też muszę dbać dla honoru zawodu i hotelu. — Gość wstał. — Miło mi że porozmawialiśmy jak dżentelmen z dżentelmenem, w duchu szczerości i wzajemnego zrozumienia. Kiedy opuszcza pan nasz hotel?

— Jutro przed południem. I więcej nie przyjadę.

— Serdecznie panu dziękuję. Życzę powodzenia w interesach.

Po odejściu szefa panienek Tambor włączył telewizor. Szedł program publicystyczny z gatunku „gadające głowy”. Tambora — który rozumiał już całkiem dobrze potoczny polszczyznę — zalał potok zawitych, wręcz mętnych sformułowań. Nie mógł pojąć, o co właściwie rozmówcom chodzi i czym się różnią w poglądach. Chyba w ogóle się nie różnili, bo najjaśniejszymi w kolejnych wypowiedziach były zdania pozachłowe, przyznające przedmówcy rację w niezrozumiałej dla Tambora kwestii. Wyłączył telewizor.

Jola wróciła od rodziców zaawansowanie niedospała, a także jakby przepita Tambor taktownie o nic nie pytał, ona zaś nie kwapiła się do wynurzeń. Wynikiem rozmowy z niezależnym intelektualistą zainteresowała się tylko zdawkowo i nie skomentowała go. Po wykapaniu się w łazience zgłosiła swą gotowość do odjazdu. Zeszli do samochodu.

Wrocław wyglądał niedzielnie, ruch był mały. Większa grupka ludzi zobaczyli dopiero przed kościołem, gdzie ustawiała się czołwiga pochodząca demonstracyjnie. Jak poinformował Tambora wszystkich wiedzący Marek — oczekiwała ona na wychodzących z nabożeństwa. Ci jednak podobno niechętnie się ostatnio przyłączali do takich manifestacji, znużeni niechętnością ich organizatorów. Tambor przeczytał napisy na rozwiniętych już transparentach.

„Szyjni i wolności!”. „Wszystkim równo. Akord wyniszcza”. „Zadamy wolnych poniedziałków”.

„Precz z podwyżkami cen. Ma być dużo i tanio”.

„Podnieść zasiłki chorobowe i dla wielodzietnych”.

— Co na takie manifestacje polski rząd? — spytał Tambor. — Jak reaguje?

— Rząd jest na zupełnie błędnej drodze, sir — odpowiedział Marek — Usorawiedliwia socjalizm, a to już nie skutkuje sprzykrytym się. Trzeba by całkiem czego innego.

— O, czego? — zainteresował się Jola Tambor, wieszając żer dla pułkownika Knocka.

— Rząd powinien na jeden rok wprowadzić w Polsce kapitalizm. Taki ostry, bez cackania. Byłoby od razu ze trzy miliony bezrobotnych, żadnych dotacji i rekompensat, prawdziwe ceny, skłowy pełne drogich towarów, bez kolejek. Po takim roku wszyscy leworocznicy przostali na kolanach o przewrótce socjalizmu. Rząd mógłby się wtedy nawet wzbraniać i stawiać warunki. Bo w gruncie rzeczy socjalizm to dla rządu kłopotliwa rzecz. Trzeba nieustannie pokonywać trudności, których w kapitalizmie w ogóle nie ma.

— Może należałoby dać ludziom dobre zarobki? — Leworocznicy nie chcą zarabiać, bo to nuży i meczy. Oni chcą otrzymywać pieniądze. Najlepiej odczyna, żeby nie trzeba było chodzić po nie do jakiegos tam miejsca pracy, które zniechęca samymi swoimi widokiem.

— Pan jest zawzięty na leworocznym.

— Ja bym ich nawet popierał, sir, ale we wrogin kraju. U nas za ciasno przy kasie. Niestety nie chcą dranie wyjeżdżać, tacy z nich patrioci. Jeśli nawet któryś wyjedzie, to szybko wraca, a tu go znowu ojezyzna do piersi przytuli.

Jola, utrudzona wizytą u rodziny, wtrąciła się do rozmowy dopiero teraz.

— W cyrku to nie ma leworocznym. Zaraz by pospadali.

— Cyrk to prawdziwa sztuka — zgodził się Marek. — Tam nie da się picować. U mnie albo tamiesz kark.

— Bardzo trafnie pan to ujął, panie Marku.

Także szosa wyglądała niedziennie: mniej było ciężarówek, więcej samochodów osobowych. Pod tym względem polski pejzaż drogowy nie różnił się od amerykańskiego. Specyfikę dostrzegł Tambor w czym innym. Na przydrożnych podwórkach i przed domami stało dużo osobówek, przy których posiadacze coś dębali albo po prostu je myli. To nie dziwiłoby wczesnym rankiem, przed wyjazdem — ale w południe? Tambor zapytał o to niejasne zjawisko Marka.

— Oni będą to robić aż do wieczora — odpowiedział Marek.

— Dlaczego? Co to za ludzie?

— Sir, u nas samochód to element prestiżu. Wypada mieć. Toteż nawet niezamożni kupują za ostatnie grosze różne stare graty. Potem nie stać ich na to, żeby nimi jeździć, bo benzyna za droga. Zresztą te gruchoty słabo się do jazdy nadają, a remonty też drogie, bo części brak.

— Jak te graty nie jeżdżą, to się nie psują i nie brudzą. Po co grzebać się przy nich i myć?

— Dla honoru. To usprawiedliwia niejechanie. Tej niedzieli naprawiamy i pucujemy, a w przyszłą pojedziemy. No i niektórzy wypuszczają się czasem nad najbliższą rzeczkę. Potem znowu przez parę niedziel dubią i myją.

— Pan Marek ma rację — odezwała się powtórnie Jola. — Samochód wypada mieć. Pieszo nad rzeczkę nijak, wstyd. Nie te czasy.

— Rzeczkę, prawdę mówiąc, przeważnie zatruta, nie do kąpieli — dorzucił Marek. — Ale pojechać trzeba. W karty pograć, podjeść na trawie, ponarękać na zdzierstwo w warsztatach samochodowych.

Jola zdrzemnęła się i przez pewien czas jechali w milczeniu. Potem Tambora zainteresował tłumek przed kościołem w spornym mieście. Ponad głowami zebranych dojrzał bogato zdobiony sztandar ze złocionym gołdem polskim, na szpicu drzewca.

— Tutaj też manifestacja? — spytał Marek.

Kierowca zatrzymał samochód i przyjrzał się zgromadzeniu.

— Nie — powiedział. — To poświęcenie sztandaru.

— Po co?

— U nas, sir, organizacja bez sztandaru nieważna. A sztandar bez poświęcenia.

— Co to za organizacja?

Marek wyszedł z samochodu, zbliżył się do zgromadzonych i porozmawiał krótko z dwoma mężczyznami. Po powrocie po informował Tambora:

— Sprzymierzenie. Prawdych Patriotów, koło terenowe numer pięć. Poświęcenie już skończono. Zaraz udadzą się z tym sztandarem na swoje comiesięczne zebranie. Jeśli pana to interesuje, sir, możemy pójść. Sympatycy są mile widziani.

Tambor nie czuł się sympatykiem nieznanego mu sprzymierzenia, ale ciekaw był. Pochód ze sztandarem ruszył wnet sprzed kościoła. Pojechali za nim. Miejscem zebrania okazał się dom kultury tutejszego browaru.

Jola ocknęła się, więc Tambor spytał ją, czy chce pójść z nim i Markiem. Nie miała ochoty, wołała pospać dalej. Została w samochodzie.

Sala była przygotowana na przyjęcie sprzymierzonych według zasady „czym chata bogata”. Na stołach czekały kufle. Po staropolsku ubrane kelnerki przystąpiły od razu do nalewania piwa. Tambor siadł z Markiem przy ostatnim stole, żeby mieć w polu widzenia całą salę.

Na jej przeciwnym krańcu, za stołem przydługim, zasiadło trzech prawdziwych patriotów w wieku emerytalnym albo zbli-

żonym do niego. Środkowy wstał niebawem, zabrzęczał dzwonkiem i otworzył zebranie.

— Witam szanowne koleżeństwo w uroczystym dniu poświęcenia naszego sztandaru. Pozwól sobie wyrazić wiarę że skupieni pod tym sztandarem będziemy jeszcze skuteczniejsi niż dotąd dawać opór krećciej robocie szkalowników naszej ukochanej ojczyzny.

— Hańba oszczercom i komopolitom! — rozległ się męski głos z sali.

— Hańba! — odzyknęło gromko, stukając kufkami o stoły. — Na pohybel!

Przewodniczący, wytrącony na krótko ze swej roli, wrócił do niej.

— Nasz dzielny i rycerski naród, krzywdzony od wieków przez bezdusznego świat, doświadczony klęskami, niewolą i męczotnictwem, nie utracił ani na chwilę wiary w swe duchowe przewodnictwo oraz posłannictwo. Dzierżymy sztandar wysoko i nie opuszczymy go tak nam dopomóż Bóg!

— Nie opuszczymy! — potwierdził ktoś z sali.

— Niech Zachód nie kłuje nas w oczy swoją zaradnością i merkantylnymi staraniami. Nasza siła w duchu i cierpieniu, a nie kupczeniu godnością albo honorem dla materialnych korzyści. Które zresztą i tak nam się należą za hart oraz niezłomność.

— Nie bardzo rozumiem — szepnął Tambor do Marka. — Co i od kogo należy się za niezłomność?

— Dobrobyt. Od świata.

— Od Ameryki też?

— Jasne. Od wszystkich, którzy się pazernie wzbogacili pracą.

Przewodniczący wygłosił jeszcze kilka megalomańskich zdań w tym samym stylu. Potem oznajmił:

— Teraz oddaję głos koledze Bielikowi, kierownikowi naszej sekcji do śledzenia krećciej roboty. On uczulił nas na knowania wrogów i szycerów, które niestety nie ustają.

Podniósł się mężczyzna siedzący po prawicy przewodniczącego i przystąpił do obnażania knołów.

— Coraz natrętniej rozpowszechniany jest cyniczny pogląd, że powinniśmy pofolgować w miłości ojczyzny, za to wziąć się ostrzej do roboty.

— Pofolgować w miłości ojczyzny! — zakał wzbudzony głos z kąta sali. — Jak im coś tak zdradzieckiego przez gardło przechodzi!

— Bezczelności im nie brak — stwierdził Bielik. Na pociechę zauważył uspokajająco: — Polakowie na szczęście nikt nie może nie kazać. — Po chwili referował dalej. — Ci sami mówią, że trzeba by więcej uczyć się od innych. Importować cudzą myśl techniczną i organizacyjną.

Teraz odezwały się kolejno aż trzy osoby z sali.

— Albo to Polak nie potrafi? Naród nasz zdolny. Może nawet najzdolniejszy na świecie.

— Piąć dolarami za jakąś tam myśl. Lepiej sprowadzić pomarańcze dla dzieci, bo one u nas niestety nie rosną, chociaż dla sprawiedliwości powinnny.

— Słusznie. Dzieci naszym wielkim skarbem i nadzieją. Bielik nawlazał do wątku dzieci.

— Są też zarzuty, że mamy za duży przyrost naturalny. Postęp gospodarczy, mówią samolubni sybaryci, nie nadąża za tym rozpięciem. Może ustosunkujcie się do tego koleżanka Sieciechowa, nasza zastępowana matka-Polka.

Sieciechowa powiedziała swoje siedząc, bo tusza utrudniała jej wyprostowanie się między krzesłem a stołem.

— Urodziłam jedenaścioro i, chwalić Boga, wychowałam z pomocą państwa. W poprzednich tylko czworo. Dodatki rodzinne są za małe, to fakt, ale porządnie Polki nie powinno znęcać. Trzeba tylko ukrócić skrobanki, żeby wygodnictwa nie było.

— I rozpustne uświadamianie w szkole — dorzuciła inna patriotka. — Dziewuchy się wycwaniają, uczą różnych sposobów, żeby nie rodzić. Po co to? Co się urodzi, to i wychowa. Troszczy się o to za nas Pan Bóg i Ojciec Święty.

W tok zebrania wkroczył przewodniczący.

— Proponuję wrócić do pryn-



Rys. Dariusz romanowicz

cyptów, proszę koleżeństwa. Referujcie dalej, kolego Bielik.

— Nieustannie oczernia się naszą historię i narodowe świętości. A to że była anarchia, nie wolność. A to że złe wzory. A to że skąkanie do rzek zamiast pracy dla kraju, choćby pod zaborami.

— Stare śpiewki nihilistów — zauważył przewodniczący. — Niedługo i wieszczów zakwestionują.

— Już kwestionują. Twierdzą, że to jest mącenie rodaków w głowach kultem klęsk, a nie osiągnięć.

— Wieszczów obronimy. Pragnę koleżeństwo poinformować, że otrzymałem komunikat o utworzeniu przy naszej Główniej komisji Inwentaryzacji i ochrony świętości. Wieszczowie wejdą na listę ochronną bez wątpienia. Zażąda się od Sejmu sankcji za szarganie.

— Królów też wziąć pod ochronę! — huknął krzepki głos z sali. — Wszystkich. Historycy za wiele sobie pozwalają. To tego poszturchują, to na innego chlusną pomyjami albo smrodem podpuszczą. Żadnego szacunku.

Dolewane do woli piwo buzoowało już niektórym patriotom w głowach. Jeden z nich wstał nagle i walcząc z płaczącym się w ustach językiem zaproponował:

— Powinniśmy uchwalić rezolucję. Przywrócić monarchię. Polską mocarstwem od morza do morza. Wspólna granica polsko-japońska na rzece Ural.

Tambor nie znał historii Polski — a tym bardziej wieszczów, tradycji i świętości, o których była mowa. Zebranie zaczęło go przeto nudzić.

— Wychodzimy, panie Marku — oznajmił.

Kiedy znaleźli się za drzwiami, Marek powiedział:

— To maniacy, sir. Dać im władzę, to by nas wzięli za mordę twardziej od liberałów.

— Liberalowie amerykańscy są za swobodą — zauważył Tambor.

— Nasi też. Marzą o tym, żeby mieć pełną swobodę wzięcia za mordę nieliberałów.

— A kto to są a was pluraliści? — przypomniał sobie zaskoczony Tambor.

— To kandydaci na liberałów, nie mogący na razie dojść do głosu. Oni chcą, żeby wszyscy mieli prawo trzymać nieliberałów za twarz.

Ruszyli w stronę samochodu. Kiedy go ujrzeli, zaniepokojili się obaj. Przy wozie majstrowali trzej młodzi mężczyźni starający się go otworzyć. Tambor szybko odgadł, że młodzieńcy chcą się dostać do Joli, która pozamykała drzwi od wewnątrz.

Tak też było. Na przemian z próbami sforsowania zamków od zewnątrz młodzieńcy domagali się otwarcia drzwi przez Jolę. Byli pijani i postugiwali się językiem wulgarnym. Tambor zażądał, by natychmiast odeszli od samochodu.

— Jeszcze długo nie — odrzekł butnie prowodyr napastników. — A potem weale.

— Radzę po dobroci.

— A co, dasz nam po głbie, mocarzu?

— Jak będzie trzeba, to dam. Prowodyr zwrócił się do swoich kompanów.

— Po ryju go, patafiana. Niech nie straszy.

Jeden z pijanych ruszył ku Tamborowi z łapami, ale na dziął się szczęką na podstawioną przez niego pięść i wyładował na ziemi. To samo stało się wnet z obydwojma pozostałymi.

— Odejżdżamy — powiedział Tambor do Marka.

Nim jednak Marek zdążył pootwierać drzwi, przy samochodzie zatrzymał się motocykl z dwoma milicjantami na siedelku.

— Kto pobili tych trzech? — spytał starszy z milicjantów, plutonowy.

Z wyjaśnieniem pospieszył Marek.

— Nikt nie pobili. Rzucili się na mojego pasażera, nadział na jego pięść i leżą.

Milicjant pokręcił głową, jakby z politowaniem dla tak naiwnego kłamstwa.

— Trzech nadziało się na jedną pięść i wszyscy leżą. Milicja nie lubi takiego robienia jej w konia, obywateli. I nikt na tym dobrze nie wyszedł, ostrzegam.

— Rzucali się na mnie kolejno, są pijani — rozwinął wyjaśnienie Tambor. — Działalem w obronie własnej.

Z samochodem wygramoliła się Jola i potwierdziła oświadczenie Tambora.

— Tak rzeczywiście było, panie plutonowy. Mąż kazał im odejść, bo napastowali mnie erotycznie, a wtedy oni ruszyli na niego. No to dostali po szczękach, ale umiarkowanie. Tyle, ile dla uspokojenia trzeba.

Plutonowy zwrócił się do Tambora.

— Poproszę o dowód osobisty. Tambor podał mu swój amerykański paszport. Milicjant obejrzał z wyczulnością, bezradnością i rozterką, potem zaś wsunął do raportówki.

— Państwo pojedą za nami do komisariatu — zarządził.

— Bardzo proszę — zgodził się bez dyskusji Tambor.

Ruszyli za jadącymi przedem milicjantami. Wystraszona nieco Jola milczała, natomiast Marek pospieszył z radą dla Tambora.

— Sir, niech pan żąda traktowania bez humanizacji, bo inaczej nie wyjedziemy stąd dzisiaj.

Tambor zrozumiał z rady tylko ostrzegawczą końcówkę. Jej jądro wymagało wyjaśnienia. Było kolejną zagadką ze sfery polskiej specyfiki.

— O jakiej humanizacji pan mówię?

— Zaraz wytłumaczę. U nas, pod presją kół intelektualnych, wprowadzono od zeszłego ro-

ku w milicji humanizację postępowania z zatrzymanymi. Przesłuchujący mają dążyć do psychologicznego zrozumienia winowajcy, wejrzenia w jego duszę, dotarcia do głębinowych pobudek czynu. Jeśli pana w to wciągną, marna sprawa, istna matnia. Zaczyna od wypytywania o zdrowie, dzieciństwo, stosunki z rodzicami, żoną, przykrości w miejscu pracy, kompleksy, frustracje. Jak ja podpadłem niedawno za źle wyregulowane reflektory, to wydołowałem się z komisariatu dopiero następnego dnia wieczorem. Zgroza, sir.

— To co mam zrobić? — spytał zaniepokojony Tambor.

— Jak tylko padnie pytanie o zdrowie albo dzieciństwo, niech pan natychmiast zażąda: proszę po dawnemu, bez humanizacji. Oni na to chętnie pójdą, bo roboty mniej. Musi pan jedynie potwierdzić to życzenie w protokole, żeby mieli dowód dla zwierzchności.

— Dobrze, zażadam i potwierdzę.

W komisariacie sprawdziło się wszystko, co zapowiedział Marek. Kiedy Tambor uwolnił przesłuchującego go funkcjonariusza od wdawania się w humanizację, śledztwo przebiegło szybko. Przesądziły rzecz zgodne oświadczenia Joli i Marka, że sprawcami incydentu byli trzej pijani mężczyźni. Tambor zaś nie przekroczył granic obrony koniecznej. Po dwudziestu minutach opuścili wszyscy troje komisariat i pojechali do restauracji na obiad.

XI.

Czwarty na liście wynalazca perpetuum mobile także mieszkał daleko od Warszawy: w Bydgoszczy. Nazywał się Piotr Bylicki. Znowu wypadło wyruszyć w podróż wczesnym rankiem.

Dla urozmaicenia długiej jazdy Tambor kupił w hotelowym kiosku kilka polskich gazet. Sam zatopił się w lekturze poważnego dziennika politycznego, Jolę natychmiast zaczęła przeglądać czasopismo, drukujące tylko ogłoszenia.

Poważna gazeta polityczna męczyła Tambora nie mniej od niedawnego słuchania w telewizji gadających głów. Język publikacji był sztuczny, żargonem dla wtajemnicznych, jakby wyrażanie myśli w sposób prosty uwiatało powadze autorów. To jednakże, co dawało się zrozumieć, potwierdzało opinię Marka, że rządzenie Polską polega głównie na zmaganiu się z trudnościami, których w kapitalizmie w ogóle nie ma.

C.D.N.